

„Gniewińskie Pióro 2021”

ALMANACH POKONKURSOWY



Grafika wykorzystana na okładce:
Z archiwum Gminy Gniewino –
Wieża widokowa w kompleksie „*Kaszubskie Oko*”

Korekta:
Hanna Grzybowska

Redakcja, projekt okładki i skład komputerowy:
Wydawnictwo MS

Druk:
Drukarnia Eikon Plus
Kraków

Wydawca:
Wydawnictwo „MS” Wejherowo
Tel. 58 672-51-53

Nakładem:
Starostwa Powiatowego w Wejherowie
Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Biblioteki w Gniewinie

ISBN
978-83-65092-34-2



**PROTOKÓŁ z posiedzenia Komisji
XX OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO
„GNIEWIŃSKIE PIÓRO”
z dnia 10 września 2021 r.**

W dniu 10 września 2021 r. odbyło się podsumowanie posiedzeń Komisji XX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „GNIEWIŃSKIE PIÓRO”. Organizatorem Konkursu było Centrum Kultury, Sportu, Turystyki i Biblioteka w Gniewinie, a patronowała mu Rada Gminy Gniewino.

W konkursie wzięło udział 216 uczestników z Polski oraz z zagranicy (Szwecja, Niemcy, Wielka Brytania, Luksemburg, Litwa). Jury oceniło 117 zestawów poetyckich oraz 98 tekstów prozatorskich w dwóch kategoriach wiekowych: dorośli i młodzież. Jedną pracę zdyskwalifikowano z powodu 100% przekroczenia limitu objętości pracy.

Komisja w składzie:

Wioletta Majer-Szreder – przewodnicząca oraz Anna Jastrzębska, Ewa Haberka, Dorota Zadroga, Róża Metz-Szymikowska i Małgorzata Kobiela - nagrodziła w poszczególnych kategoriach następujące osoby:

• **KATEGORIA: POEZJA - DOROŚLI:**

- 1 miejsce** - godło KLAWIKORD – Mariola Kruszewska, Mińsk Mazowiecki
2 miejsce *ex aequo* - godło RABARBAR – ps. Jerzy Pawłowski, Łódź
3 miejsce - godło GĘSIEGO – Urszula Lewartowicz, Lublin

wyróżnienie

- ⇒ - godło RAK NIEBORAK – Irena Wanda Niedzielko, Zalasowa
⇒ - godło SOLARIS – Mirosław Kowalski, Mysłowice
⇒ - godło UR – Mariusz Jacek Rokita, Piotrków Trybunalski
⇒ - godło FRANZ CZKAWKA – Mirosław Gabryś, Cieszyn

Wyróżnienia w formie wydrukowania utworu w almanachu pokonkursowym:

- ⇒ godło FLEUR DE BONHEUR - Martyna Furtak, Bożów – za wiersz „Ocalenie”
⇒ godło ORI - Tadeusz Knyziak, Warszawa – „Krogulcze szpony”
⇒ godło LATIMER - Katarzyna Justyna Zychla, Żary – „Być może jedyna szczerą modlitwą”
⇒ godło LOTKA - Donata Witkowska-Kowal, Starachowice – „Małe psy”
⇒ godło SZKLANKA - Grzegorz Chwieduk, Kępice – „Producent”
⇒ godło BROKAT - Aneta Ślemp, Goczałków – „Rękawiczki”
⇒ godło SOSNA RADOSNA - Krzysztof Przegiętka, Toruń – „Pani od polaka”
⇒ godło JAN VERMEER VAN DELFT - Marzenna Lewandowska, Bydgoszcz – „Klucze nad Afryką”
⇒ godło ZMROK - Marzena Przekwas-Siemiątkowska, Szczuczyn – „Przyjadę kiedy będziesz pogodna”
⇒ godło ROKSANKA - Zdzisław Drzewiecki, Biały Bór – „Pożegnanie”
⇒ godło ANTONY DALTON - Remigiusz Czyżewski, Wrocław – „Krwioobieg”
⇒ godło Z BRUGII - Małgorzata Borzeszkowska, Wejherowo - „Pod drzewem”
⇒ godło BEZPRETENSJONALNA - Jolanta Michalska, Płock - „Podróż Esterki”
⇒ godło NIE-DO-SŁOWNA - Magdalena Sadowska-Maciejewska, Warszawa - „Rozmowa (trzech poetek)”
⇒ godło BIAŁA RÓŻA - Kinga Stępień, Łeba - „Czego słuchają kobiety”
⇒ godło SMAK ŻYCIA - Adam Bolesław Wierzbicki, Dłużek - „Ogonek po pamiętkę” (Z cyklu: „Kolejki polskie”)
⇒ godło MAREKAURELISZ2010 - Tomasz Albecki, Wejherowo - „Ojciec odchodzi”
⇒ godło BAJECZNE - Rafał Baron, Gdańsk - „Lata dwudzieste nowego tysiąclecia czyli to nie jest to”

• **KATEGORIA: PROZA - DOROŚLI:**

1 miejsce – godło JULIA – Maria Kocot, Bytom – za opowiadanie „Barwna triada życia”

2 miejsce – godło SOWA – Kamila Szmigiel, Działoszyn - „Fortepian księżnej”

3 miejsce – godło KAGANIEC – Marek Szczerbiński, Kraków - „Cukier Marchlewskiego”

wyróżnienia:

⇒ - godło SŁONECZNIK – Anna Paterek, Bydgoszcz - „Nasz ancymon”

⇒ - godło BOREYKO – Tomasz Figiel, Kraków - „Zawichojskie opowieści”

⇒ - godło FUMIKONT – Anna Kocot-Nowak, Przeźmierowo - „Butów wiekuiste tupanie”

• **KATEGORIA: POEZJA - MŁODZIEŻ:**

1 miejsce – *nie przyznano*

2 miejsce –godło - MIRA – Martyna Jersz, Szprotawa, 17 lat – za wiersz „Przypadkowość”

3 miejsce ex aequo – godło - HEREZJA – Milena Puła, Nasutów, 16 lat – „Studium przysłowia”

3 miejsce ex aequo – godło - GRECHUT - Grzegorz Sobkiewicz, Agatówka, 13 lat – „List do mamy”

wyróżnienia:

⇒ godło MajorKa - Karolina Majorowska, Warszawa, 15 lat – „Wiem, że nic nie wiem”

• **KATEGORIA: PROZA - MŁODZIEŻ:**

1 miejsce – godło ELIZA –Anastazja Klufczyńska, Bydgoszcz, 17 lat – za opowiadanie „Do Elizy”

2 miejsce – godło FIA – Oliwia Dorota, Drohiczy, 14 lat – „Biały kamyk”

3 miejsce – *nie przyznano*

wyróżnienia:

⇒ godło KROKIS - Jakub Krok, Węgrzyce Wielkie, 15 lat – „Melancholia”

⇒ godło „ANTA - Aleksandra Kocot, Bytom, 14 lat – „Skrzypce Włodka”

Nagrody finansowe dla dorosłych laureatów zostaną przelane na podane konta bankowe, natomiast nagrody rzeczowe dla młodzieży, dyplomy oraz almanachy pokonkursowe zostaną wysłane pocztą w terminie do miesiąca od dnia ogłoszenia wyników..

Druk almanachu pokonkursowego został dofinansowany przez Starostwo Powiatowe w Wejherowie.

Gratulacje dla wszystkich laureatów XX Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Gniewińskie Pióro” i serdecznie zapraszamy wszystkich uczestników do udziału w następnej edycji Konkursu

Mariola Kruszewska
Godło: „Klawikord”, Mińsk Mazowiecki
I miejsce poezja

Dychotomia układu niegdyś scalonego

to zaczęło się tej nocy
kiedy zegar pogubił godziny
czarne wskazówki wskazywały tylko nieparzyste

z tego powodu kukułce pękło sprężynowe serce
mnie zaś zabolęło ramię
to drugie
i poczułem ukłucie w lewym płucu

przy śniadaniu paplałaś o swoim szefie
ze zdwojoną energią
milczałem żując twardą skórkę wściekłości

a kiedy wyjeżdżaliśmy do pracy
ja na północ ty na południe
ulice ułożyły się doskonale nierównolegle

wtedy zrozumiałem pojęcie rozdwojenia jaźni

AD

każdego dnia
z nowym zdziwieniem
odkrywasz w sobie ślady starości

dech ci zabiera kolejna nowa zmarszczka na pamięć
rocznicy urodzin przyjaciół
nie wiesz że cię zapomnieli pierwsi

zwłóknienie ciała
szarej komórki
wspomnienia letniej sukienki odsłaniającej uda całowane

słońcem
cierpliwe jest i łaskawe
nawet nie czujesz bólu
zupełnie jak po błogosławieństwie
narkozy

patrzysz na mnie z taką skupioną obojętnością
jak spogląda się na trawę usychającą w sierpniowym upale
wtedy zaciskam pięści

szukaj mnie
od porannej kawy do wieczornego serialu
szukaj mojego imienia w płataninie kartek wyrwanych z kalendarza
muszę przecież być niedaleko tych wszystkich zdjęć
rozsypanych jak puzzle
postaraj się a potem podaj mi rękę
poprowadzę cię jak ślepcę
na pierwszy koniec tęczy

Samotność

rodzi się na stepie
z dala od pędzących strumieni
jest
pojedynczym ziarnem piasku
leżącym obok
pojedynczych ziaren piasku
wśród tłumu pojedynczych ziaren piasku
każde z nich próbuje złapać przeznaczony mu oddech

trwa
a potem następuje szereg pojedynczych śmierci
pojedynczych ziaren piasku
nad którymi nikt nie zapłaci

liche kurhany rozwieje wiatr

jakże to pospolite

ps. Jerzy Pawłowski
Godło: „Rabarbar”, Łódź
II miejsce poezja

Wysłałem żonę do gazu

przyjechaliśmy w nocy
wielu się udusiło ale nie upadło
taki był tłok stali ramię w ramię
przez kilka dni bez jedzenia wody
oddawaliśmy kał i mocz w ubraniach
a na rampie wrzask i płacz dzieci
ale do mnie uśmiechnęło się szczęście
zobaczyłem lekarza znałem niemiecki
powiedziałem *moja żona źle się poczuła*
grzecznie odparł *to musi się udać na tamtą stronę*
załatwiłem lepsze traktowanie
jak paw byłem z siebie dumny
bo oszukałem los
dlatego wysłałem tam również siostrzenicę

miała na imię Lilly i dwadzieścia dwa lata
jak na Auschwitz trafiła świetnie
zostać rysowniczką w stacji hodowli roślin
to jak spotkać złotą rybkę na środku stawu
z wolnym jeszcze jednym życzeniem
i mieć pod ręką siatkę
wystarczyło w nic się nie wplątać
napisała do więźnia z bloku 3
list posłańcy nieśli w wieńcu
kartka się wysunęła
i obaj trafili na Blok Śmierci
gdzie potrafią rozwiązywać języki
już po południu dołączyła do nich Lilly
była ładna więc przesłuchiowano ją naga
przystawiając pistolet do skroni
podała że chłopak mieszka w innym bloku

od razu zaczęto tam szukać
ale kwalifikator znał adresata
i wydał go
więc blok mógł odetchnąć

zabito dziewczynę i posłańców
ją na końcu
bo na stercie trupów leżała na wierzchu

a list był miłosny

przed porodem nie jadłam
za chleb kupiłam prześcieradło
na pieluszki i kaftanik
kromka to najpewniejsza waluta
w kantorze Auschwitz

przez chwile byłam jak z obrazu Memlinga
madonna tronująca w baraku
w zakrwawionej szacie
z nagim dzieciątkiem

szczęście trwało chwilę
maleństwo nie miało siły ssać
na drugi dzień myślałam że rozsadzi mi piersi
uciskałam i celowałam w jego usta
ale trafiałam w oko albo w nos

Żydówkom nie wolno było karmić
taka zasada
ich dzieci mogły żyć trzy dni
matki albo dusiły niemowlaki
albo odsyłano je do krematorium

dałam cycka cudzemu niemowlęciu
kobieta nie miała pokarmu
ale chłopak był silny
nie można go było oderwać

piersi przestały boleć
mleko dało się odciągnąć
i nasycić mojego syna

berbeć Żydówki płakał całą noc
zrobiło mi się go żal
zaczęłam karmić
matka nie wiedziała czy dziękować
czy mnie przeklinać

jadł łapczywie
ale jeśli bobas przeżyje
oboje pójdą do gazu



Urszula Lewartowicz
Godło: „Gęsiego”, Lublin
III miejsce poezja

Symfonia dzieciństwa

But kałużę wypełnia dźwiękiem,
z brudnych kropel tka nuty wyborne.
Rytmem berka łamane gałęzie
w sonatową składają się formę.

Trzepak własną prowadzi opowieść:
dywanową wariacją świat ściele.
Z okna matka wygłasza zapowiedź
menueta na nóż i widelec.

Mirabelka się drze pod podeszwą,
ugniatana to skrzypi, to dzwoni
i zamienia się w dźwięczne allegro,
by wygłosić epilog symfonii.

Potem echo już tylko. Nadzieja,
że dźwięk w sercu, co trzeszczy i łupie,
to gałęzie. Kałuża. I trzepak.
Matki głos. Mirabelka pod butem.

Ale przecież to wróbel płochy

trzeba wyjąć już ją z solanki
spontanicznie okrasić helem
ubrać w czwartki i w poniedziałki
zedrzyć złudne celebriodziele

trzeba ochy i trzeba achy
eF literą trochę ochłodzić
werterowski zdjąć z niej baldachim
do Tuwima zabrać do Łodzi

trzeba płynąć przez łzaworzewie
znaleźć cienki beztroski przesmyk
widzisz tego wróbla na drzewie?
płochy taki, a taki pocieszny

W miłości lepiej dmuchać na zimne

Położyć wszystko
jak należy
o siódmej dziecko
gęś na pergamin
krem na rozstępy
akcent na: wierzyć
z prawa własności
ustny egzamin

pod dywan dzisiaj
wczoraj na świecznik
uszy po sobie
przed tobą przyszłość
na innych kreskę
na szali: jeśli
kres zaniedbaniom
i anarchistom

w miłości lepiej
dmuchać na zimne
na usta czerwień
na pulsie ręce
na szczerym polu
zasłony dymne
i serce twoje
tuż przy farelce



Irena Wanda Niedzielko
Godło: „Rak nieborak”, Zalasowa
wyróżnienie poezja

Pamięci Przyjaciela

I

tak się nie odumiera
rodziny przyjaciół i psa
i trawnika w ogrodzie...
jakże uwierzyć mam
w pieśń pogrzebową
w żałobne dzwony
gdy uśmiech był ledwie
w połowie drogi
i taniec niedokończony...

II

pozazdrościło go nam niebo
że taki z humorem
że recytuje że śpiewa
że przyjacielem być potrafi
prawdziwym
o takich to nawet
w niebie niełatwo

więc go zabrało
choć jeszcze nie czas był
i... trudno się dziwić

III

teraz masz w niebie
złoty mikrofon
i złotą scenę
i śpiewasz w chórze
anielskim
na twoich występach
pękają ze śmiechu
na złotej widowni
wszyscy święci

Spowiedź

miałam w życiu
trzy miłości
pierwsza była mroczna
niestrawna
najcięższa
druga najważniejsza
przyznałam się do niej
przed Bogiem
i ludźmi
i trzecia przelotna
najbardziej romantyczna
z *Kalinką* w tle
zabiła ją odległość
więcej miłości nie pamiętam
żadnej z nich nie żałuję
nic nie mam sobie
do wybaczenia

Babcia Julcia

przychodziła do nas czasem
wyciągała z zanadrza
całe swoje dzieciństwo

naznaczone przedwczesną śmiercią
czterech braci
i dwie wojny
przeszłość była jej jedynym
ciągle żywym dzisiaj
nie dającym się uspokoić
musiała mówić
procesje słów
szły zawsze wydeptanymi ścieżkami
układały się w dobrze znane obrazy
bolesne tajemnice życia
które ciągle trzeba było od nowa
odmawiać
przeżywać
cierpieć
bo nigdy nie udało się ich zrozumieć
ani usprawiedliwić

Wiosenne wzory

niebo w obłoki
pagórki w zielenie
drzewa w liście
łąki w kwiatki
ptaki w świergoty
gniazda w pisklęta
ludzie w uśmiechy
pogoda w kratkę



Mirostław Kowalski
Godło: „Solaris”, Mysłowice
wyróżnienie poezja

Równanie z wiadomymi

chodziło mi tylko o nienaelektryzowane przestrzenie
o ten jeden nieforemny czworobok
kawałek kosmosu z zaskrońcem i czajką
między autostradą torowiskiem i księżycem
o niezapalne płaszczyzny

z geometrią na bakier
i patałach od algebry
nie liczyłem na wiele
choćby tylko te ułamki
cieni i prześwitów

ale nie
po pewnych deszczach
liczby zaokrąglone i po przecinku
rosną bujniej niż poezja w trawie
sporządzono w pośpiechu zyskodajne jutro na zawsze
po grzebicie bażancicy siedzącej na jajkach
i przez wylękły zagubiony tatarak
wytyczono nieodwołalne proste

jak idący na szafot
pochyliły się pokorne brzozy
nie było żadnej niewiadomej
geodeci niewinną przestrzeń
poszatkowali na kawałki

Noc wyssana ze szkła. Meteory miejskie

kiedy twarz jakoś nie chce przytulić się do snu
i kusi ciągle rozpalająca wilgoć szkła
wilgoć od jego wewnętrznej strony
puszczają szwy na zdrowej powierzchni rozsądku
i wtedy trzeba iść

miasto zabiera w te wszystkie mroczne miejsca
spomiędzy lamp neonów rozświetlonych witryn
wyzierają ukradkiem zagubione sienie zaułki wnętrza
nocnym tramwajem jeżdżą szyderczo uśmiechnięte
zjawy w długich wypłowiałych płaszczach

nieznajome twarze w cieniach i rozbłyskach
gubią nagle usta oczy policzki
nieznajome łęki tulą się do ciała
jak własne

czasem jakiś nagły zaskakujący krzyk prosto w zamyślony księżyc
wraca echem i na kawałki rozbija się o torowisko
nikt tu już nie pozbiera blednących okruchów nocy
ani wzgardzonych drobnych żółtych monet
zaskakujące krzyki i twarze znikają jak meteory
grubo po północy w mieście

bliżej poranka
nawet ten stary wyga zarozumiała ulicznik księżyc
zaczyna tracić cechy ludzkie zmienia kolor
staje się bardziej ciałem niebieskim
miasto zaczyna zwyczajnieć
z szuflad skrzyń klatek
przez bramy okna i drzwi
wypuszcza przechodniów i gołębie

teraz już tylko mieszkańcy miasta
jadą tramwajami

Przetrwać

wymazuje z nieba
wszystkie bociany i jaskółki
dokładnie ogryza drzewa z liści

po nocach
poza soplami trzeszczy
złodowaciały księżyc z ziemią na szelkach
nieswojo

skryjemy się za którymś wersem
poematu o szalonej miłości
będziemy wyczesywać
z futra czasu
zużyte sprężynki

spod zgruchotanych mrozem
gałęzi kości badyli
spróbujemy wygarnąć sprytnie
jakiś rozżarzony węgielek

rozciągła noc
klamerkami mrozu rozpięta
między wszystkie horyzonty
będzie nas tłamsić
obracać w zębach
wysysać z ciepła

ostatecznie
znowu nas nie połknie
będziemy tu siedzieć
dorzucać snów do pieca
odgrzewać wiersze

będziemy być
trwać
aż kiedyś
z ostygniętego popiołu
wygrzebiemy kielkujący świt



Mariusz Jacek Rokita
Godło: „Ur”, Piotrków Trybunalski
wyróżnienie poezja

na drodze huraganu
deweloper postawił domki
z kart (za franki
szwajcarskie)

po co gonić za wiatrem?

*W domu Ojca
mego
jest mieszkań wiele*

Tabor

*twarz Jego zajaśniała jak słońce
odzienie zaś stało się białe jak światło*

minęło dwa tysiące
lat

świat jest
chory –
świat chce
zmian

nie przestrzega się
prawa –
fałszywie prorokuje

przemienienie na Górze?
potrzebne jest: tu i teraz

Wdowa

jej syn studiuje
wirusologię

dostaje stypendium
jak zwierzątko
pokarm

pasie mikroby
w laboratoriach

mówi:
- *będę bogaty...*

a ona
- poddana reżimowi sanitarnemu –
daje na tacę dwa grosze

„pracował” w MO
(o dziwo!) przeszedł pozytywnie
weryfikację

otworzył firmę...

ja – biedny opozycjonista –
nie będę się z nim prawował o szatę
odstąpię i paszcz, którym on przykryje
lewe interesy

nie mam żony
- mówię –
Domu ni samochodu
mam tylko kochankę i... schizofrenię

Bóg jest cierpliwy...

nie wypędza ze Świątyni Ciała
pozwala żyć w sąsiedztwie
Ducha Świętego



Mirostław Gabryś
Godło: „Franz Czkawka”, Cieszyn
wyróżnienie poezja

Bez

Im dalej w las, tym więcej monitorów.
Z wygaszaczem. I bez. Dużo bzu,
bez ludzi, bez flory, bez fauny.
Im dalej w czas, tym mniej człowieka.
Są wieka otwarte i ostatnie gwoździe.
Zazgrzyta zgrzany zegar. Zamilknie
kukułka, podrzucając jajo.
Wygaśnie monitoring.

Mgławica

Mgli mnie.
Już niemal nie ma mnie we mgle.
Już niemal nie mnie ma mgła.
Choć ta mgła to mgławica, odkryję w niej Amerykę,
odemglę się, wypłynę z cienia,
z przestworu oceanu między dwoma domami
(życie jak kij ma dwa końce).
Wóz nurza się w marność nad marnościami,
białe grzywy galopują w roztopy –
oto koniec zimy. Lub agonია konia.
W każdym razie coś nie dla dzieci
pijanych we mgle, we dnie, w nocy,
kiedy pełźnie mglista glista.

Życie snem

Na dzień dobry zabija mnie budzik.
Włączam fabrykę snów. Znów
dzieje się to samo. Beze mnie.
Śniadanie sen, praca sen, wszystko sen,
do nocy cała droga zen. Lunatykuję
po mieszkaniu dzień cały i niecały
wciąż jestem, niepełny półmisek, półton,
pół tonący, pół płynący do brzegu nocy,
zachłyśnięty prochami na sen. Nałykany
tak, że nie z wody, lecz z prochów się składam,
złożony, ułożony do snu. Z prochów
powstaję i jestem. I się obracam.
Z głową pod ścianą czytam życie snem,
zanim zabije mnie budzik.

Noc komara, dzień świstaka

Co noc ten sam komar (zgaduję po jednej nutce)
wysysa mój sen, ucina moją drzemkę.
Przynajmniej odrobina mnie w nim
trochę pośpi, pożyje w cudzym śnie,
pobrzęczy w cudzysłowie.
Przyciąć komara, odciąć brzęczącą nić,
wyciąć w pieśń.

Ręka rękę

Mogę cię wyręczyć na własną rękę,
skoro mam wolną rękę, a ty masz rękę związane.
Mogę ci pójść na rękę, więc oddaj się w dobre ręce
i umywaj ręce. Jeśli masz dwie lewe ręce,
mogę być twoją prawą ręką, gdyż mam złote ręce.
Z pocałowaniem ręki podam ci przyjazną rękę
i rękę, że nie będę ci patrzeć na rękę.
Jestem na wyciągnięcie ręki, więc
nie załamuj rąk, nie siedź z założonymi rękami
i wreszcie wpadnij mi w ręce.
A gdy już będę miał cię w rękach, z rąk
mi nie wypadniesz. Dam sobie rękę uciąć,

że nie machnę na ciebie ręką i nie obudzisz się
z ręką w nocniku. Nie przyłożyłbym do tego ręki,
z ręką na sercu. Choćbym miał pełne ręce roboty
i nie wiedział, w co ręce włożyć, przyjmę cię
z otwartymi rękami, więc proszę cię o rękę,
pójdziemy ręka w rękę. Tak bardzo się staram
o twoją rękę, że jestem gotów zginąć
z twojej ręki, byle nie wrócić z pustymi rękami.
Choćbyś się broniła rękami, będę cię nosić
na rękach i będziesz jeść mi z ręki.
Zacieram rękę.



Martyna Furtak
Godło: „Fleur de bonheur”, Bożków
Wyróżnienie w formie druku

Ocalenie

Gdyby nie Ty,
Jakże bym była licha.
Schowana pod poduszką łąza kapiąca wytrwale.
To kropla drąży skałę,
Jak ten smutek dolinę w mej duszy.
Przeciwnieństwo wyciąga ręce,
Pokazuje uśmiech zawzięcie.
Ja chcę Ciebie.
Ty chcesz mojego ocalenia.
Zawdzięczam Ci spokój.
A co, gdyby Cię wtedy zabrakło?

Tadeusz Knyziak
Godło: „Ori”, Warszawa
Wyróżnienie w formie druku

Krogulcze szpony

to ja byłem tym dmuchawcem
za którym frunęłaś
a chwilę później wilkiem który chciał cię rozszarpać
to wszystko ja
wybacz krogulcze szpony
uwolniłaś się z ich uchwytu dopiero nad ranem
z odrazą i fascynacją
z obrzydzeniem i pożądaniem
z bólem podbrzusza

po rozgwieżdżonym suficie
wciąż jeszcze splywa
krew ślina i ludzkie nasienie
ocknęłaś się mokra
a może tylko wilgotna
I na pewno jeszcze nie gotowa
na podszepty zegara

bo są takie noce
niekoniecznie sierpniowe
kiedy za sprawą słów co jak dotyk
albo dotykiem co jak słowa
stajemy się perseidą
pozornie nieproszoną
a tak bardzo wyczekiwaną



Katarzyna Justyna Zychla

Godło: „Latimer”, Żary

Wyróżnienie w formie druku

Być może jedyna szczerą modlitwa

do dnia mojej śmierci
będę zmartwychwstawać każdego poranka
pić kawę kroić chleb karmić koty

z nadzieją że zaniki pamięci
nastąpią tuż przed nie wcześniej
i że do końca
dam sobie radę z myciem i czesaniem

i że tuż przed
ostatnim oddechem
będę syta miłości i spokoju

do dnia mojej śmierci
chcę pisać

dopóki zmartwychwstaję każdego poranka
kroję chleb karmię koty pamiętam
imiona tych których dałeś mi za córki
ukochanych przyjaciół lub wrogów

wysłuchaj mnie żniwiarzu
wszystko inne to tylko garść popiołu
to lzy na wiatr



Donata Witkowska-Kowal

Godło: „Lotka”, Starachowice

Wyróżnienie w formie druku

Małe psy

lubię piosenki Marka Dyjaka
za ich chropowatość
i za prosty przekaz
bez zbędnych epitetów
jak sól w oku
choć nie popłynie łza
czasem tylko dreszcz
przemknie po kręgosłupie
bo życie nie rozpieszcza
tylko kąsa nogawki
kłami małych osiedlowych kundli
bo życie nie gładzi po głowie
tylko rzuca na głęboką wodę
i sam rozbitku szukaj kłody
bo koła ratunkowe
rozdano dla wybranych



Grzegorz Chwieduk

Godło: „Szlanka”, Kępice

Wyróżnienie w formie druku

Producent

trójka synów
rozwija się
podręcznikowo

ona częstuje go
pocałunkami
a nie ścierką

pakt o nieagresji
zawarł z trudnym bratem

jest bardzo pomysłowy
w produkowaniu
tak zwanej normalności



Aneta Ślemp
Godło: „Brokat”, Goczałków
Wyróżnienie w formie druku

Rękawiczki

Pozwolą państwo, że przedstawię
Są współnikami zbrodni
Pomocnikami porządków
Niezbędne w ogrodzie i na stoku
Noszone latem chronią przed słonecznymi pocałunkami
By mleczna skóra dam nie traciła arystokratycznego wdzięku
Zimą ogrzewają
O zmroku kuszą w towarzystwie balowych sukni
Upuszczone dyskretnie są Amora znakiem
Rzucone pod nogi prowokują waśnie
Mają mnóstwo wcieleń
I długotrwały staż
Przemawiają sekretnym językiem podtekstów
Łączą płcie i pokolenia
A nawet lewicę z prawicą
Umiejętnie ściągnięte
Wplatają seksualne wątki między palce

Stworzone do związku
Status singla momentalnie je uśmierca
Oto one
Rękawiczki
Tłumiki dotyku



Krzysztof Przegiętka **Godło: „Sosna Radosna”, Toruń** **Wyróżnienie w formie druku**

PANI OD POLAKA *Pamięci Teresy Jankowskiej*

Celowała w nas cytatai, mówiła: *Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono.*
Nie, wtedy jeszcze się nie baliśmy.
Ten lęk przyszedł później – Lęk, który nazywa się dorosłość.
Lecz dzięki niej wiedzieliśmy już, Jak szukać w sobie odwagi.
Kiedy indziej przyniosła do klasy adapter.
I tak usłyszałem, że *ja nie chcę, Nie chcę, nie chcę być poetą.*
Dopiero niedawno zrozumiałem, dlaczego. To na jej lekcjach otwierały się
przed nami
Alternatywne światy, rozkołysane *Na ziarnku maku.* Niektórzy z nas ruszyli
dalej
Sami, na wyprawy w nieznane.
Jeśli dziś ktoś mnie zapyta,
Czego nas uczyła przez te wszystkie lata – Odpowiem, że właściwie tylko
tego,
Jak dopasować czasownik *być* Do przymiotnika *przyzwoitym*
I nigdy na odwrót.
Na ten temat zadała nam właśnie
Ostatnie zadanie domowe.

Marzenna Lewandowska
Godło: „Jan Vermeer van Delft”, Bydgoszcz
Wyróżnienie w formie druku

KLUCZE NAD AFRYKĄ

w moim mieście
skrojonym na jeden kościół jedną podstawówkę
są trzy supermarkety wypełnione jadłem po sufit
co wieczór pracownicy z logo na koszulkach
wywożą na śmietnik palety pełne białka witamin
i nierozpakowanej empatii

przed świtem kolejne klucze zagłodzonych dzieci
kończą do bram nieba



Marzena Przekwas-
Siemiątkowska
Godło: „Zmrok”, Szczuczyn
Wyróżnienie w formie druku

Przyjadę kiedy będziesz pogodna

gdyby przybywało mi zmarszczek
od zmartwień nie mogłabym otwierać oczu
matka mówiła będziesz sama
przez twoje płodne pisanie kiedyś zapłaczesz
przecież Bóg jest miłosierny
dlaczego z powodu jednego błędu
kobiety od wieków cierpią mękę przy porodzie
wewnątrz głodzone dzieci drapią ściany

nadal wychodziłyśmy tymi samymi drzwiami
czasem dotykając się łokciami
syczałaś przez zęby schudnij
nie będę słuchać deski
to prawda
popchnęłam cię w pokrzywy
naskarżyłaś ojcu
dostałam w twarz
babcia mówiła rozmasuj to bo będzie siniec
niech go wszyscy widzą upierałam się
przyjadę mamó kiedy będziesz pogodna
wezwana na rozmowę
przyznasz mi rację



Zdzisław Drzewiecki *Godło: „Roksanka”, Biały Bór* Wyróżnienie w formie druku

Pożegnanie

o godzinie 22.15 wyjeżdżam z miasta
w którym zwiedziłem wszystko co zasługiwało na uwagę
łącznie z twoim ciałem i twoim pokojem który przesiąkł
zapachem starych mebli
wiszące na ścianie zdjęcie twojego dziadka (bodajże Floriana)
w mundurze trzeciego pułku ułanów niewątpliwie dodawało
splendoru naszym miłosnym manewrom
rozkołysałem się za mocno
w tobie
w tym pokoju
w tym mieście
i to był powód najpierwszy i właściwie jedyny istotny
aby to wszystko opuścić
opuścić wbrew sobie

tobie
i podszeptom rozmytego w deszczowym oknie miasta
w pamięci pozostaną jedynie białe tunele wspomnień
które z czasem zmatowieją
zatrą zatracą się zupełnie
jak rudawe strumyki wody spływające
po łuszczącej się ścianie dworcowego budynku



Remigiusz Czyżewski
Godło: „Antony Dalton”, Wrocław
Wyróżnienie w formie druku

Krwioobieg

ulice tego miasta usłane są wspomnieniami
stoję na każdym rogu młodszy o dwadzieścia kilka lat
siedzę w nieistniejących barach zakazanych melinach
moja postać majaczy w bramach porusza się
w cieniach lata
jeśli dokładnie posłuchasz od tych obskurnych kamienic
odbijają się moje słowa które wypowiadałem z emfazą
jeśli uważnie popatrzysz ujrzysz jak się zataczam pijany
na Placu Katedralnym
ulice tego miasta mają w krwioobiegu te chwile
moja młodsza o dwadzieścia kilka lat postać
przemierza puste przestrzenie
chce całować dziewczyny
rozmywa się w klatkach schodowych
umiera w akademikach
mam prośbę – nie staraj się tego oceniać
bo rzucam ci do stóp wspomnienia
one zawsze w końcu są święte
miasto tętni każdym moim oddechem
każdym upadkiem i krzykiem
pulsuje

Małgorzata Borzeszkowska

Godło: „Z Brugii”, Wejherowo

Wyróżnienie w formie druku

Pod drzewem

jaki upał,
za bardzo obłaniśmy złotem - leje się na nas strugą ognia,
za gorąco na pracę,
leżę pod drzewem, udaję że śpię, nawet usta rozdziawiłem, żeby uwierzyli,
w zbożu brodzą jak bociany w trawie, zaraz rozłożą ręce i ulecą,
słomkowe kapelusze uniosą ich pod niebo,
a tam już Pan na nich skinie i poda zimne mleko,
albo lepiej wino,

jaki upał, nawet jeść nie mogę,
kobiety spocone, czerwone nosy i policzki
jak wiśnie, kroi chleb, je, nalewa, je, kroi

upał osiada, trzyma się granicy cienia,
snopki stoją równo,
a gdyby tak przywiązać po jednym do rąk
i pofrunąć do Pana, a on tam już czeka
z garncem zimnego piwa,

jesteśmy jak na obrazie,
obsypani płatkami złota i ochry
i tylko sierpy podobne do zimowego księżycyca
taki upał, panie,
że też chce ci się malować,
zamiast odlecieć na latawcu z płótna,
w niebie podobno zima



Jolanta Michalska
Godło: „Bezpretensjonalna”, Płock
Wyróżnienie w formie druku

Podróż Esterki

W jedną stronę dobiegła końca
Malowniczy zakątek
Oświetlony promieniami słońca
Bocznica z rampą i wartownicy z psami
Eden nie eden
Eden - piekło
Eden - hektary drogi krzyżowej ogrodzone drutem kolczastym

Nad obozem zapada cisza
Chudy księżyc oświetla baraki
Płacze, jęki i modlitwy
sen okryty płachtą nie nadchodzi
Człowiek nie człowiek
Człowiek - cień
Człowiek numer obozowy przyszyty do mundurka

Pętla przemocy zaciska się
Esterka patrzy śmierci prosto w oczy
Czeka w kolejce
Kąpiel nie kąpiel
Kąpiel – bez wody
Kąpiel - Dusza wolna jak ptak
Słodkim odorem dymu z komina ponad druty obozu wzlata.



**Magdalena Sadowska-
Maciejewska**
Godło: „Nie-do-słowna”, Warszawa
Wyróżnienie w formie druku

Rozmowa (trzech poetek)

meble są dobrym pomysłem na wiersz
takie zrobione razem we dwoje
solidne na wymiar
na lata

najlepsza jest szafa
osiemdziesiątka głęboka daje duże możliwości
kiedyś babcie pokazywały sukienki i tłumaczyły
która do trumny

a ja bym nie potrafiła wybrać
przecież tyle sukienek w szafie
każdego dnia mam dylemat
a co dopiero na śmierć
która nie pasuje
do żadnego dnia tygodnia



Kinga Stępień
Godło: „Biała Róża”, Łeba
Wyróżnienie w formie druku

Czego słuchają kobiety

nie bądź smutna
nie bądź
bo obrażasz mężczyzn
powinnaś się uśmiechać

zakryj biust i ramiona
zakryj
bo prowokujesz mężczyzn
to widok tylko dla męża

nie decyduj
nie decyduj
nawet o sobie



Adam Bolestaw Wierzbicki
Godło: „Smak życia”, Dłużek
Wyróżnienie w formie druku

Ogonek po pamiętkę

Z cyklu : Kolejki polskie

Kolejka po wpis w tomiku wierszy lokalnego poety gdzieś w prowincjonalnej bibliotece udaje zainteresowanie jego życiem i twórczością oraz kulturą wyższych lotów. Zachwyca

się lotnością metafor i porównań. Wspomina edukację autora (polonistki), wspólne wakacje (kuzynostwo), to że bratem niekiedy wrednym był (rodzeństwo), a synem niegrzecznym

i niepokornym i że pomimo, że do nauki się nie przykładał
zawsze przechodzi z klasy do klasy z nagrodami (rodzice),
ale popić i narozrabiać zawsze potrafił (koledzy nie po piórze

tylko od zadym i kielicha). Większość podpisanych zbiorków
trafi nieprzeczytana na honorową półkę w domowych
biblioteczkach, gdzie po kilku latach zbierze się na nich gruba

warstwa kurzu.



Tomasz Albecki ***Godło: „Marekaureliusz20210”, Wejherowo*** **Wyróżnienie w formie druku**

Ojciec odchodzi

gdybym ja tego ojca
oglądał od A do Z,
to pewnego dnia zdałbym sobie sprawę,
że odchodził już dawno.

najpierw tak po cichutku, szedł spać i nawet piłka
go nie za bardzo interesowała,
a przecież kibic był z niego, że ho ho.

Polska gola! – krzyczał
Aj jaj, jaj bez jaj – dodawał w monologu
do siebie
niezależnie czy Lewandowski czy Sousa
czy Zbigniew Boniek.

Nie chodził nawet do kochanki,
hobby czy codzienne działania
odwiesił na haczyk,
co chłop powinien umieć – umiał

a on nawet nie potrafił umierać.

przecież coś wynika z czegoś,
a on...

po sobie zostawił tylko Marudzenie
i pusty wzrok, w którym nie dostrzegłem
nic.

Nawet Miłości.



Rafał Baron
Godło: „Bajeczne”, Gdańsk
Wyróżnienie w formie druku

Lata dwudzieste nowego tysiąclecia
czyli to nie jest to

Podłączony do obiegu, okablowany światłowodami
(czasem mam wrażenie, że to ciemnowody).
Speselowany. Zdigitalizowany. Sprofilowany.
Pozycjonowany. Śledzony. Nagrywany. Analizowany.
W nieznanym oceanie fejsbuków, netfliksów, snapczatów,
instagramersów i fololersów, tiktoków, slitfotek, influencerów,
trendseterów i jutuberów, pin kodów, ruterów i algorytmów,
hasztagów, timsów, kowidów
i innych zwidów.

Wszystko jest tak blisko,
lecz wszyscy gdzieś daleko.

Boże, jeśli to jest drugi potop,
to Noe miał łatwiej.

Maria Kocot
Godło: „Julia”, Bytom
I miejsce proza

BARWNA TRIADA ŻYCIA

Biel

Płatki śniegu bielą się opadając miękko na ciemne ulice. Pada śnieg, prószony śnieg, wszędzie go nawiało. Dachy są już białe, na ulicach biało. Stroją się w biel drzewa. Na ziemię, jakby całun opadł, jakby świat zamienił się w biel.

– Nie widać świata, jest cały w bieli – wykrzykuję podchodząc do okna.

W szpitalu znowu ruch. Przywieziono kobietę do porodu. Będzie ciężko, dziecko jest źle obrócone. Podwijam rękawy śnieżnobiałego fartucha. Boże jak się boję. Zawsze towarzyszy mi strach, kiedy idzie coś nie tak. Ten przypadek jest wyjątkowo beznadziejny. Kobieta jęczy, krzawi. Trzeba chyba cesarskie ciecie wykonać.

– Czy jest doktor Wilczur? Sama nie dam rady – wykrzykuję do pielęgniarki.

– Nie, doktora dzisiaj nie ma – te słowa sprawią, że brakuje mi tchu.

– Ja jestem w jego zastępstwie – z letargu wyrzywa mnie niski, aksamitny głos.

Patrzę przed siebie. Śnieżna biel tkaniny lekarskiego kitla bije po oczach. Mój wzrok wędruje ku w górze. Policzki bledną, usta stają się zbielełe... Pierwszy raz czuję jakby błyskawica przesywała moje ciało.

– Jurek Bauman, nowy lekarz, pani kolega po fachu – moja dłoń wędruje ku górze, a usta nieznajomego muskają ją lekko.

Przez chwilę czuję się, jakbym bujała puchowych, bielusieńkich obłokach.

– Prześcieradła! – ton wypowiedzi Jurka sprawia, że przypominam sobie, gdzie się znajduję.

– Skalpel, nożyczki – moje wargi wypowiadają beznamiętnie te słowa.

– Będzie pani mi asystować, słyszałem od doktora Wilczura, że pomimo krótkiego stażu w zawodzie jest pani świetna – uśmiecham się lekko, dziękując za komplement.

A za chwilę pielęgniarka niesie bielusienką watę i białe prześcieradła. Po chwili asystuję przy zabiegu cięcia cesarskiego.

– Ciężko, będzie bardzo ciężko... Dziecko nie dość, że jest źle obrócone, to jeszcze oplecione pepowiną – Jurek gładzi nerwowo lekarski fartuch.

Operacja trwa godzinę, po jego czole spływają mu jasne kropelki potu. Białe maski, nałożone na usta i nos, skrywają nasze zmęczenie. Wreszcie krzyk. Udaje się. Wygraliśmy życie.

Śmieję się srebrzyście. Jurek łapie mnie za rękę. Zaraz kończymy pracę. Zdejmuję biały fartuch.

Tak właściwie, to wkrótce cały personel szpitala po kątach szepcze, że mamy się ku sobie. Mają rację. Parę miesięcy później kaplica tonęła w białych orchideach. Spoglądam na śnieżną biel przepysznej, koronkowej sukni ślubnej i odwracam wzrok.

– Świat chyli się ku wojnie, a ja pozwalam sobie na taką rozpustę – przechodzi mi przez myśl.

Jednakże przepędziłam ją szybko. Stajemy się mężem i żoną, pośród bieli skąpanej w czystości naszych serc.

Czerwień

Nawet nie wiem, kiedy pierwszy raz mój śnieżnobiały fartuch zmoczył się czerwienią krwi. Czy było to już w trzydziestym dziewiątym? Tak, chyba tak. To wtedy przywieźli do szpitala rannych w bitwie nad Bzurą. Właściwie wtedy czerwień była wszędzie. Krew, krew, zew krwi...

– Pani doktor, tak bardzo boli – słyszę jęk żołnierza leżącego tuż obok na przyczy. Jego policzki czerwienią się z bólu.

– Spokojnie, mamy jeszcze morfinę. Mój mąż będzie pana operować – przemawiam łagodnym głosem, głaszcząc go po ręce.

– W jakich to czasach przyszło nam żyć? – mówi żołnierz, łapiąc z trudem oddech. – Szkopy splądrowali nasz kraj i dodatkowo Czerwoni siedemnastego te do nich dołączyli. Tuż to czas Apokalipsy nadszedł, droga pani. Toż to krwistoczerwone piekło, zdaje mi się, że nasza flaga nie jest już biało-czerwona, lecz cała zalana krwią. Gdybyż jeszcze to była czysta czerwień, ale nie. Myśmy w błocie po godzinę stali. No wie pani, tam w okopach.

Nerwowo kiwam głową, spoglądając na gnijącą stopę żołnierza. Jurek podał już diagnozę: stopa okopowa. Noga puchnie i zaczyna gnić. Żołnierz jakby odgaduje moje myśli:

– Wiem, trzeba będzie amputować.

Pragnę zaprzeczyć gwałtownie, jednak niczego nie jestem pewna.

– Będziemy walczyć o pana godne życie – do rozmowy włącza się męski głos. Ukochany głos, należący do mojego Jurka.

– Uda się – mruga do pacjenta porozumiewawczo.

Życie, jedno życie. Jedna świeczka zapalona przez Boga. Cóż ma się jedno życie do miliona żyjących na ziemi? Dla Jurka oznacza wszystko.

– Było ciężko, ale nogę uratowaliśmy – po chwili wychodzi z sali operacyjnej, obcierając pot z czoła, a potem spogląda na mnie w sposób, który sprawia, że się czerwienię.

Czerwień, czerwień...zakłeta w zapachu róż, które właśnie widzę przed sobą.

– Toniemy w wojennej zawierusze, a ty wciąż pamiętasz o kwiatach dla mnie, Jurku – śmieję się, kiedy wychodzimy razem ze szpitala.

– Miłość ma pasowy kolor – mówi Jurek.

Jego śmiech wciąż rozbrzmiewa, pomimo dramatycznych wydarzeń, które wkrótce mają nadejść. Wojna rozpanoszyła się na polskich ziemiach na dobre. Wkrótce naszym domem stał się las. Walczyliśmy o życie naszych leśnych braci od gołym niebem. „Jędrusie” – oddział partyzancki wywodzący się z lokalnej organizacji konspiracyjnej Odwet. Grupa ludzi złączonych wspólnym bólem.

– Jodyna, bandaże – suchy ton głosu Jurka jest niesiony przez leśne echo.

A nasi, ubrani z wiśniową szatę utkana z ran, padają jak muchy. Ciągłe zwożą ich bez rąk, bez uszu, z rozwalonymi brzuchami. Podczas, kiedy Jurek walczy ze śmiercią niczym Syzyf ze swoim głazem, niebo zamiast błękitu zmienia się w szkarłatną lunę. Matowieje czas, a wraz z nim twarze moich leśnych braci. Teraz w ich oczach błyszczy strach i nicość, które potrafiłyby ogień zmrozić.

Czerń

A potem nastaje noc. Ciemność. Wszystkie gwiazdy na niebie gasną. Niebo przykrywa się czernią. To pod osłoną nocy przychodzą po nas. Gestapo. Właściwie to zapamiętuję tylko tupot wypolerowanych ciemnych butów. Tak długo ukrywaliśmy się w kamiennicy na Chłodnej, a jednak po udanych akcjach „Jędrusiów”, musieli kogoś z naszych złapać i zmusić go tego, żeby nas zadenuncjował. W każdym razie, wraz z Jurkiem jesteśmy pogrążeni we śnie, kiedy Niemiec brutalnym kopniakiem otwiera drzwi i krzycząc głośno „Alles heraus”, wyprowadza nas na klatkę schodową. Nie zdążyliśmy się ubrać. Jurek próbuje objąć mnie ramieniem, jednak oficer gwałtownie nas rozłącza. Na ulice, jak spod ziemi, wyjechały riksze. W rogu drogi stoi wielka, ciemna ciężarówka. Wpakowują nas do niej siłą. Tam w środku jest ciasno. Czarna noc uniemożliwia mi zobaczenie twarzy towarzyszy naszej niedoli. Przez chwilę milczymy, jednak zaraz potem Jurek szepcze mi do ucha:

– Zabrałem ze sobą pistolet.

– Ciii... – kładzie mi palec na ustach, kiedy próbuję coś powiedzieć.

Tymczasem zawożą nas na stację kolejową. Potem, w końcu nadjeżdża pociąg. Taki bydlęcy, nie taki przeznaczony do przewozu ludzi. A tam niewyobrażalny smród, ciasnota i upał. Stajemy przy małym okienku i pomimo ciemności dostrzegamy migające budynki i drzewa. Wszystko spowite w ciemność. Takie też stało się nasze życie.

– Jurku, co robisz? – nagle spostrzegam, że mój mąż majstruje coś pomiędzy deskami w podłodze.

– Lauro, musimy się stąd wydostać, to nasza jedyna szansa – głaszczę mnie po ręce.

Po chwili słyszę jeszcze:

– Jest udało się! Udało mi się wyrwać dwie deski z podłogi!

Trzęsę się jak w febrze, kiedy patrząc na mnie tymi czarnymi niczym węgiel oczyma, mówi:

– Kiedy pociąg stanie, proszę przecisnąć się między deskami.

– A ty...?... Ty? – pytam nerwowo.

– Zaraz dołączę do ciebie – ton jego głosu brzmi niezwykle opanowanie. Potem chwytam mnie za ramiona i wolno dobiera słowa:

– Kiedy oboje wydostaniemy się na zewnątrz, spokojnie poczekamy, aż pociąg odjedzie, a potem... Lauro biegnijmy, ile sił w nogach do lasu! Rozumiesz? Lauro, rozumiesz?

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczyma i nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Dopiero po chwili mrugam powiekami na znak aprobaty.

Gwiazdy nagle przebiły się przez czerń nieba, kiedy rozpedzony pociąg staje. Ostrożnie, zgodnie ze wskazówkami Jurka, wydostaję się na zewnątrz. Jakaś śruba rozcina mi przy okazji nogę i piszczę z bólu. Za chwilę udaje się wydostać także Jurkowi.

– Jest ciemno, musi nam się udać – szepczę, a ciepła dłoń ukochanego koi moje nerwy.

– Teraz, biegnij i nie oglądaj się za siebie – krzyczy do mnie Jurek.

Przez chwilę zamieram, stapiając się z ciemnością nocy. Jednak po chwili, nie oglądając się za siebie, moje nogi niosą mnie w stronę ciemnego lasu. Biegną na oślep, prócz czerni moje oczy nie widzą nic. Gwizd lokomotywy. Chyba rusza. Czyżby się udało? Czyżby nam się udało? Myśli kłębią się w mojej głowie. Pragnę ciszy, pragnę schronić się w bezpiecznych konarach leśnych drzew. Cisza. Błoga cisza. Nagle...TRACH!!!

– Aaa!!! – jęczę jak ranne zwierzę. Jednak moje nogi nadal są sprawne, a ciało nie odczuwa fizycznego bólu.

– Jurek! – dokonuję makabrycznego odkrycia.

– Jurek! – krzyczę bez opamiętania.

Przerażenie nie pozwala mi odwrócić się za siebie. Jednak nadludzkim wysiłkiem czynię to.

– Auuu, moja noga – wije się z bólu Jurek. – Ten szkop na dachu trafił mnie. – Nie dam rady dalej iść.

Czerne niczym węgiel oczy Jurka patrzą na mnie z miłością:

– Lauro, uciekaj, uciekaj!

Gwałtownie kiwam przecząco głową. Jakże mogłabym go zostawić? Tutaj, na pastwę ciemnej nocy?

– No, dalej Lauro! – syczy, skąpany w cierpieniu, Jurek.

Ja jednak chwytam go za obie dłonie i próbuję przenieść w stronę lasu. Walczę tak przez dłuższą chwilę. Potem dochodzę do straszliwego wniosku: nie dam rady. Jestem drobną kobietą, nie zdołam przenieść do lasu postawnego mężczyzny. Naraz słyszę szczekanie wilczurów.

– Oni są gdzie blisko – jęczę, a Jurek skinięciem głowy potwierdza moje obawy.

Widzę, jak bardzo cierpi, jaki straszny ból fizyczny odczuwa..

– Lauro, zaraz mnie dopadną, a potem będą mnie... No wiesz, co oni robią ze zbiegami.

Nadal nadludzkim wysiłkiem próbuję przeciwną go w stronę lasu.

– Nie dam rady! Na Boga Jurku, nie dam rady! – płaczę.

Jurek głaska mnie po rękę.

– Spokojnie. Spokojnie... – szepcze uspakajająco.

Naraz wyjmuję coś z kieszeni. Pistolet. Cofam się przerażona na jego widok.

– Zabij mnie. A potem uciekaj w las – słysząc te słowa brakuje mi tchu. Przed moimi oczyma wirują czarne koła.

– Nigdy, nigdy – wypowiadam w kółko te same słowa.

– Jurek! – krzyczę na cały głos. – Czy to nie ty walczyłeś o każde życie, o każde nowonarodzone dziecko? Czy to nie ty ścigałeś się z Panem Bogiem, żeby ochronić płomień życia i żeby palił się trochę dłużej niż Bóg by sobie tego życzył? A teraz każesz mi cię zabić?

Jurek patrzy na mnie z miłością:

– Życie jest piękne, jednak od niego ważniejsza jest godność! Godność Lauro! Jeśli wiem, że ono zaraz zgaśnie, wolę zakończyć je bez bólu, upokorzeń i cierpień. Strzelaj Lauro, strzelaj! I pozwól mi odejść w godności! Pozwól mi nie cierpieć!

Przez chwilę waham się, jednak pod osłoną nocy słyszę tupot czarnych buciorów. Zaraz tu będą. Drżącymi rękoma chwytam za broń. Zamykam oczy. TRACH!!! Moje życie rozpada się na tysiące kawałków!!!

Jednak zdecydowanie odwracam się za siebie i biegnę... Biegnę w stronę lasu. Jego ciemność przyjmuje mnie niczym długo oczekiwanego gościa. A za chwilę zaczyna świtać. Nadchodzi biel poranka, poprzecinana zapachem czerwonych maków...



Kamila Szmigiel

Godło: „Sowa”, Działoszyn

II miejsce proza

FORTEPIAN KSIĘŻNEJ

Fortepian

Odjechali w trzech ciężarówkach, w których znalazły się brylanty, perły, paszporty i fotel starej matki *Fürsta*. Niestety, w ciężarówkach nie znalazły się słowa pożegnania, nie mówiąc już o miejscu dla takiego ważnego członka rodziny jak on. Nikt nie zapomniałby przecież o rodowym synu Steinwaya, na którym podczas jednej z wizyt zagrał sam *Kaiser* z akompaniamentem porcelanowej *Fürstin*. Fortepian był jednak zbyt dumny, żeby zawołać za nimi o przypomnienie. Karcił się pewnością, że przyślą po niego czwartą ciężarówkę i to w dużo lepszym stanie, niż te transportowe molochy, w które wybiórczo zapakowano trzysta gotyckich lat. Ale nikt nie wrócił. Został sam ze zdeorientowanym pałacem, który z ulubionego gniazda dobrze urodzonych orłów stał się pustym cmentarzyskiem odrzuconych bibelotów i stłoczonych dekoracji. Wszystko nagle niesamowicie urosło, przysięgając fortepian ostrymi konturami samotności.

Pewnego dnia usłyszał wreszcie warkot silnika i krzyki. Mechaniczne serce spięło struny w uderzeniu triumfu tylko po to, by chwilę później zastygnąć w przestraszonej ciszy. Ci, którzy weszli do pałacu nie mówili językiem *Fürsta*. Mieli obcy, wełnisty zapach i głos, który świdrował marmurowe ściany. Fortepian patrzył, jak obcy odrywają jego drewnianych

przyjaciół od marmurowej posadzki i wyrzucają ich na dziedziniec. Płaczącą szafę porąbano na kawałki, które połączyły się w popiół na szczycie płonącej piramidy. Porcelana *Fürstin* rozprysła się ze strachu na kawałki drobniejsze niż lzy kryształów gniecionych przez ciężkie buty. Odarte z materiałowej godności okna tkwiły we wstydlivej przezroczystości, na której ból wyźłobił głębokie rysy. Fortepian skulił się w sobie i schował pod szkieletem zgaszonego żyrandola, lecz cienie nie ochroniły go przed wzrokiem obcych. Ale przyszli i po niego. Złapali go rechoczącym śmiechem i wyprowadzili na dziedziniec. Tam niespodziewanie wbili mu się w kolano pewnym uderzeniem siekiery. Najpierw zobaczył tylko krzyczące drzazgi i nogę odrywana od stawu, potem po jego ciele rozlał się tępy ból. Ogień chciwie rzucił się na kolejny posiłek, a fortepian poczuł już ciepło płynące z ognistej trumny, w której miał za chwilę zniknąć. Nie dotknął jednak płomieni. Jeden z obcych kazał postawić tuż obok ałasowy fotel *Fürsta*, który też przeznaczono na spalenie, a następnie wtoczył się na niego z pijaną ulgą. Niezgrabnie uderzył kilka razy w czarno-białe klawisze i zaśmiał się z nieudolności własnej kompozycji. Obcym spodobał się jego pomysł. Z akompaniamentem wódki przepychali się w nieudolnej grze, która przypominała wycie zwierzęcia dotkniętego szaleństwem. Na szczęście nie mieszkali tu długo. Zniknęli w nocy, zabierając resztki świetności pałacu. Fortepian został sam na pustym dziedzińcu. Czekał tam cały rok, ale nikt nie zaprosił go do środka. I znowu ziemia pokryła się zaszczerzonymi rżesami zimy. Zniknęły też ptaki, które czasem przypominały mu jeszcze o zapomnianym świecie muzyki. Po zimie przyszedł wiosenny grabarz, który z uporem wybudzał z bagnistych gleb bujne chwasty i niezapominajki. Lato rozniosło wszędzie słoneczną wysypkę, od której fortepian nie potrafił się od nich uwolnić. Jesień, najmniej wyrozumiała nauczycielka, próbowała hartować jego coraz bardziej kruchą skórę zimnymi prysznicami i wstrząsami przymrozków. Pory roku utkwiły w błędnym kole, w którym nie było miejsca dla *Fürsta* i drobnych, delikatnych rąk *Fürstin*. To właśnie o niej najczęściej myślał fortepian, gdy zima szyła wokół białe suknie. *Fürstin* była równie blada jak śnieg, a jej zmęczone kości trzaskały czasem jak pękający lód. Co noc grała na nim sny dla swoich rozchwianych nerwów i wychowywała przy nim własnych synów. A jednak. Widział ją dokładnie, kiedy odjeżdżała. Jej biała sylwetka wyszła z pałacu z jasną głową zwróconą w stronę chmur i zatrzymała dumne kroki przed ciężarówką. Nie odwróciła się, nie położyła na nim ręki na pożegnanie. Zostawiła go za sobą, tak jakby chciała zostawić niechciane małżeństwo i nie zawsze chciane ciążę...

Nowa, bezimienna wiosna obudziła oddechy zieleni malowanej wiatrem i lodowym letargiem. Fortepian otrząsnął się z marcowych dreszczy

i odrzucił ciężkie cienie, które wciąż spały na jego klawie. Nocne skrawki przyłgnęły do murszejącego drewna i chciwie chłoneły ostatnie lśniąco przeblęski lakieru. Fortepian wyprosił je w końcu nienastrojoną skargą reumatycznych klawiszy. Mimo to nadal miał wrażenie, że nie jest sam. Rozejrzył się dookoła, ale dziedziniec powitał go szarą samotnością. Nic nie zwiastowało powrotu *Fürsta*. Teraz na zamku panował czas i wcale nie miał zamiaru dzielić się z nikim władzą. Czas nie był dobrym panem. Uparcie drażył przeszłość, która w jego rękach była jedynie bezradnym mięszem, wydartym z owoców wspomnień. Czas potrafił przeniknąć wszędzie – nadgryzał kamienne ściany, strzępił resztki zasłon i krzyczał szkłem tak długo, że szyby pękały. Przez jego szepty jedna z wież zasnęła w objęciach mchu i dzikiego wina, a dach upił się niebem i bez ceglanej przytomności upadł na podłogę zamku, krusząc zbrukane marmury. Czas nie dawał też spokoju fortepianowi – nanosił pełne precyzji pęknięcia na klawie albo wyłamywał ze stawów klawisze. Zdarzało się nawet, że zapraszał na ucztę próchnicę i razem obgryzali kości fortepianowych nóg. Rozwarstwiali je na małe drzazgi, które bezradnie odpryskiwały się od podstawy i znikwały w pęknięciach posadzki. Ale tym razem to nie był czas ani jego towarzysze. Fortepian czuł obecność kogoś innego.

Olszyna

Zaczęła się nagle, a może po prostu dopiero wtedy obudził ją wiatr, który nadał jej imię. Skuliła się w swoim zdezorientowaniu, objijając plecy o ciasne ramy kołyski z odkruszonego nasionka. Bała się, ale ziemia objęła ją spracowanymi rękami i czule ukryła pod czarną spódnica, tak jak się ukrywa czasem przestraszone dzieci.

– Nie bój się, tutaj jesteś bezpieczna. Nie wypuszczę cię, dopóki nie wyhodujesz korzeni.

– Co to są korzenie?

– To głosy, które trzymają cię w pamięci.

– Na razie nic nie słyszę!

– Dlatego jesteś tutaj ze mną. Musisz nauczyć się balansować na bagnistych ramionach. To bardzo ważne, dlatego uważaj, bo kiedy nasionka są nieostrożne, uciekają mi i zapadają się tak głęboko, że nie mogę ich wyciągnąć. Zostają tam na zawsze, w spulchniałej, czarnej otchłani, gdzie nigdy nie zaświecą dla nich oczy słońca. Nie śpiesz się jednak, by zobaczyć dzień zbyt szybko – nieroztropne, niedojrzałe nasionka wybijają się w wielkim pośpiechu na powierzchnię, a potem wyrzywa mi je wiatr i podrzuca w górę, tak wysoko, że oczy słońca popielają je jednym mrugnięciem! Ale ty... Będziesz grzeczną olszyną, prawda?

Olszyna słuchała bagnistej matki i brała sobie do zielonego serca wszystkie jej rady. Powoli wyrastały z niej krótkie i cienkie włosy, które wily się w labiryntach podziemnych korytarzy w poszukiwaniu krążących układów wód i soli mineralnych. Nauczyła się smakować podziemne soki i kierować korzenie tam, gdzie było ich najwięcej. Ziemia pokazała jej, jak unikać skwaszonych warstw i jak cicho przemykać obok śpiących odłamków wojny. Wiele opowiadała o świecie na górze, o porach roku i o tym, że olszyna spotka chłód, który pozbawi ją liści oraz przyjemne ciepło, które te liście z powrotem jej odda. Ale olszynę zastanawiał też świat, który był pod nimi, a którego nie zdążyła jeszcze poznać płytkimi nićmi korzeni.

– Dla drzew nie ma tam nic oprócz pożywienia. Ale ludzie... oni podobno zeszli nawet pod ziemię.

– Jak to? Może to duchy?

– Kto wie, często słyszę ich głosy, a ich płacz rozrywa moje ziarna rozpaczą. Zamiast żywności dają mi krew, od której zwracam już nieurodzajem.

– Co jeszcze słyszysz?

– Muzykę. Ale ona pochodzi ze świata nad nami. Niesie ją fortepian, który gdzieś tam nad nami stoi. To niezwykła istota. Muzyka jest całym jego rodowodem. Wszystko, co daje mu dźwięki, jest jego przeszłością i jedynym celem jego życia. Jakie to musi być nudne!

Wreszcie nadszedł dzień, w którym ziemia złapała ją za łodygę i podniosła do góry.

– Jesteś gotowa, aby spojrzeć w oczy słońca. Pamiętaj, o wszystkim co ci powiedziałam i czego nauczyły cię błędzące krople.

Ale olszyna nie była pewna, czy czas już naprawdę nadszedł. Zatrzymała się tuż przy drzwiach gleby i zamarła. W końcu zamruła jednym małym zielonym liściem, zwiniętym w ciasnej powiece łupiny. Słońce nie oślepiło jej, bo było blisko ziemi. Widać dopiero się obudziło i rozprostowywało zmęczone promienie. Olszyna zadarła głowę najwyżej jak umiała i zobaczyła przed sobą masywne, niskie drzewo pokryte lśniącą, czarną korą. Jego korzenie nie bawiły się z ziemią w chowanego, ale twardo opierały się na dwóch konarach. Trzeci złamał się i nie przypominał łukowych braci, zostały po nim jedynie drzazgi u nasady pnia. Gdy wiatr zapraszał drzewo do tańca, chwiało się niezgrabnie i traciło równowagę – stało jednak dumnie z twarzą odbijającą niebo. Więc tak wyglądał fortepian!

– Dzień dobry – bąknęła olszyna i dygnęła uprzejmym liściem.

Czas prześlizgiwał się bosymi stopami po kolejnych dniach, a fortepian nadal milczał. Olszyna wychyliła się spod ziemi na tyle wysoko, że dorównywała mu wzrostem. Jej ręce przestały być wątlymi nićmi, lecz

pokryły się bladą korą i zatrzymały się w górze, by przeczesywać szumiące włosy. Jej pień ubrał się w sztywne drewno, co nie spodobało się wiatrowi – nie mógł już tak łatwo kołysać olszyny, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Zmiany przypadły z kolei do gustu olszynie. Czuła teraz swoje ciało zupełnie inaczej – żyły pulsowały w nim małymi krokami i łączyły się z wodami ziemi, a jej rosnące, zielone płuca nie musiały dusić się pod ziemią, lecz oddychały pełnią krążącego powietrza. Najbardziej dumna była ze swoich loków, oplatających słońce błyszczącą aureolą malachitowych spirali. Lubiła przeczesywać je gałęziami i wpinać w nie ozdobne, śpiewające ptaki albo zapraszać wiewiórczych fryzjerów.

Kiedyś nadeszła jesień i liście pożegnały olszynę. Rezygnacja opuściła też jej ramiona, które bez celu zajęły się segregowaniem chmur. Jedna z gałęzi nieopatrznie opadła tak nisko, że uderzyła w czarno-białe klawisze fortepianu. Ruiny zamku obudził rozedrgany dźwięk chaosu, który dawno temu zgubił wrodzony rytm.

– Co ty zrobiłaś! – krzyknął fortepian.

– Przepraszam!

– Ty... Ty zagrałaś! – wydusił z siebie, a jego czarna kłapa błysnęła przez chwilę dawno zdartym lakierem uśmiechu. – Dotknęłaś melodii.

– Nie wiedziałam, że tak potrafię.

– Spróbuj zagrać coś jeszcze.

Olszyna ponownie musnęła gałęzią klawisze.

– Nie wszystkie naraz! Chcesz, żebym dostał migreny?! Zacznij od gamy.

– Co to jest gama?

– Od początku. Nie, zostaw czarne klawisze w spokoju! Tylko białe. I nie wszystkie. Słyszysz? To jest gama.

– To tak jak rozmowa ptaków. Niektóre śpiewają z samego dołu, a głosy innych fruują tak wysoko, że bolą od nich uszy – odkryła olszyna.

– Gama to po prostu kolejne kroki, które trzeba wykonać po schodach skali.

– A czarne klawisze?

– To są głosy zawieszony między dźwiękami. Potrafią ukrywać w sobie radość i smutek równocześnie, ale do czasu, potem giną w jesiennej otchłani.

– Niesamowite. Nigdy nie słyszałam takich dźwięków, jakie w tobie mieszkają. Znam jedynie gwizd wiatru, kroki traw, furkotanie ptasich piór...

– Też potrafiłbym je zagrać. Trzeba tylko znaleźć dla nich odpowiednią tonację.

– A szelest moich włosów?

– Nic trudnego. Jest bardzo przewidywalny.

Nie zabrzmiało to jak komplement, mimo to drewniane palce olszyny podążyły za instrukcjami fortepianu i delikatnie wybrały wyznaczone dźwięki. Liście drzewa drgnęły i rozejrzały się zaskoczone odbiciem swoich własnych szeptów.

– Kiedyś potrafiłem więcej rzeczy, ale wilgoć przyniosła mi reumatyzm i próchnicę klawiszy. Na dodatek kuleję. Każdy kolejny deszcz uderza we mnie chłodem i odpryskuje resztki mojej skóry.

– Nie martw się. Ochronię cię przed kroplami. Rozłożę nad tobą parasol z gałęzi i już więcej nie zmokniesz.

Kolejna wiosna zastała fortepian pod dachem z czułych dłoni olszyny. Na popękanej poduszce z kłapy falowały zielone loki, a konary wychyliły stopy spod ziemi, by podeprzeć jedyną pozostałą nogę fortepianu – ta druga stała się tak cienka, że złamało ją kichnięcie kurzu, a czas wytrącił ją spod instrumentu jak podniesioną poniewczasie kotwicę na rozmytym statku.

– Muzyka w moim ciele dawno już odeszła, a harmonia nie potrafi zebrać resztki pozostałych dźwięków. Teraz ty jesteś moją muzyką i tylko dla ciebie wciąż gra mechanizm mojego serca. To z tobą zasypiam i budzę się każdego dnia – powiedział fortepian.

Olszyna uśmiechnęła się w milczeniu i pogładziła kłapę miękką gałęzią. Jej pień coraz bardziej garbił się, by oddychać jak najbliżej jego mechanicznych płuc.

Ogień

Ogień zawsze wszystko ciekawiło. Lubił dotyk lejących się tkanin i twardość drewnianych konstrukcji. Niestety, nigdy nie zdążył poznać do końca żywiołów innych rzeczy, bo te szybko zajmowały się jego oddechem i niknęły z sykiem. Mimo to rozsypał już wiele imion dębowych kościołów, lipowych ołtarzy albo śmiesznych chat ze strzechą; obrócił w tańcu wiele spódnic i stępił obcasy wielu trzewików. Wojna dodała mu nowych obowiązków. Prześlizgiwał się więc po szczelinach kamienic, iskrzył w błyskawicach bomb. Szczególnie polubił uczucie gładzenia skóry ludzi – nigdy dotąd nie widział jeszcze tak niepowtarzalnego materiału. Skóra zaskakiwała go miękkością, ale bywała też szorstka i łykowata. Skóra potrafiła uparcie przylegać do innej skóry i gasić go krzykiem, ale nie wiedział, po co – tylko woda umiała go zatrzymać, ale i ona była bezradna, gdy zaprosiło się benzynę albo wódkę. Najbardziej zastanawiała go papierowa skóra z trudem opinająca wypukłe kości, palił jednak i ją, bo takie miał rozkazy.

W tej okolicy najbardziej spodobał mu się mały pałac, świetnie widoczny z wież fary i ratusza, które wyzwolił ogień. Na wizytę w majątku

musiał poczekać kilka dziesięcioleci, które wykorzystał na sumiennej pracy w innych miejscach. Lecz pewnego dnia przyszła susza tak ogromna, że słońce samo przyniosło go do lasów strzegących pałacu. Ogień pewnie sunął do przodu, łapiąc uciekające ścieżki i oswajając zdeorientowane zwierzęta. W końcu zapowiedział się starej bramie, która uprzejmie zgodziła się na wizytę niespodziewanego gościa. Ale pałac był cieniem dawnego siebie i ogień żałował, że nie spalił go jeszcze w czasie wojny. Wtedy to byłoby coś. Mógłby równać się z ogniem panującym w Warszawie i Dreźnie. Teraz musiał się zadowolić jedynie pochyloną do snu wieżą i pijanym dachem, leżącym na popekanej posadzce. Gdzeniegdzie snuły się postrzępione suknie zasłon, a puste ściany patrzyły na niego oczodołami, z których wylupano złote źrenice. Ale na wypłowiałym dziedzińcu czekała na niego niespodzianka. Nie widział dotąd jeszcze takiej istoty. Była z drewna, ale nie miała jednolitych przodków. Okruchy olszynowej obudowy spinały mechaniczny grab, pod nimi struny przechodziły sztywnymi krokami po bukowych mostkach. W środku słabo tliła się dusza z polerowanej świerczyny. Chroniła ją potężna kłapa, kiedyś zapewne lśniąca lakierowanym zdrowiem, dziś matowa i chropowata. Zgrabnie zaokrąglona, ale krótka noga nie wytrzymała ciężaru czasu i ugięła się, a w rezultacie istota upadła bokiem na zamszony bruk.

– Kim jesteś? – zapytał ogień.

– Nazywam się fortepian.

– To dziwne. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Po co ktoś dał ci imię?

– Ludzie zbudowali mnie, bym kładł ich nerwy do snu i po to, by słuchać dudnienia moich kroków po ścianach filharmonii. Byłem cichym krzykiem, byłem fortepianem mojej *Fürstin*. Koncertowałem dla swojego państwa, zanim uciekli bez jednego spojrzenia za siebie. Potem stałem się kulawym błaznem, a mój głos rozwarstwił się. Straciłem wszystko, co było we mnie wyjątkowego – odeszły moje kryształowe szepty, zatrzymało się bicie melodyjnych serc, a nocne ucieczki zostawiły mnie daleko w tyle.

– Przykro mi. Wydajesz się rozumieć ogień, może nawet umiałbyś mnie kiedyś zagrać. Ale opierasz się teraz ledwo na jednej nodze, a twoje plecy nie umieją dłużej dźwigać ciężaru garbu, pod którym chowają się włosy strun. Widzę, że gryzie cię nie tylko wilgoć i korniki, ale i gorycz, że twój państwo się z tobą nie pożegnali. Dzisiaj mogę ci przekazać od nich adieu.

– Zostaw go! – krzyknęła wążka olszyna, na którą ogień wcześniej nie zwrócił uwagi.

– To na nic, olszyno. Ogień jest żywiołem, tak jak muzyka. Jest prawdziwym wirtuozem. To będzie zaszczyt, przywitać go jako swojego ostatniego pianistę.

– Nie chcę tak skończyć! – oburzyła się.

Ogień z namysłem przekrzywił rudawą głowę.

– Wcale nie musisz brać udziału w tym koncercie. Jesteś drzewem. Możesz pożegnać od siebie nasiona. Wiatr weźmie je w dłonie i rozniesie po świecie. Kto wie, może kiedyś odrodzisz się zupełnie gdzie indziej i nigdy więcej mnie nie spotkasz.

Olszyna milczała. Falowane włosy przykryły drewnianą twarz i zgarbiły gałęzie.

– Słyszysz, olszyno? Możesz się jeszcze uratować – powiedział fortepian.

– Po co? – przerwała cicho. – Bez ciebie zawsze już będę słyszeć ciszę. Zostanę z tobą.

Ogień nie czekał dłużej. Kocim ruchem wdrapał się na klapę fortepianu i złapał olszynę za włosy ze zmarszczonych liści. Fortepian ześlizgnął się z jej drgających korzeni i upadł na bruk całym ciałem, wybijając sobie spróchniałe, czarno-białe zęby. Ogień otoczył olszynę gorsetem płomieni tak ciasno, że złamał ją wpół. Upadła z ramionami wyciągniętymi do przodu, by objąć płonący fortepian i połączyć się z nim tak ciasno, że został po nich tylko cichy pocałunek popiołów.



Marek Szczerbiński ***Godło: „Kaganiec”, Kraków*** **III miejsce proza**

CUKIER MARCHLEWSKIEGO

czyli jak Stefan Żeromski komisarzem bolszewickim miał zostać ⁽¹⁾

Automobil przejechał mostem Kierbedzia i w strugach gęstego deszczu mknął dalej na wschód. Chłapiąc błotem po chodnikach wyboistych ulic Pragi – szczęściem przechodniów w tej ulewie nie było – wóz skręcił na szosę radzymińską.

– To już chyba teren działań obronnych generała Hallera. Dokąd tak naprawdę jedziemy? – siedzący na tylnym fotelu Żeromski zerknął przez

ramię szofera, który też nie był pewny drogi, bo zwolniwszy, rozłożył na kierownicy potarganą mapę.

Gdzieś z oddali dobiegła krótka salwa i trójka jadących spojrzała równocześnie przez szybę.

– Tak blisko już do linii frontu? – zdziwił się. – Przed lasem widać zapory z drutu i rowy, zaś za rozlewiskiem jakieś jamy, chyba ziemne schrony. Postacie we mgle to oczywiście żołnierze – z pewnością jeszcze nasi, lecz dalej...

Wydarzenia ostatniej godziny zdały mu się wprzód interesującą przygodą, by stopniowo przeistaczać w coś na kształt niepokojącego snu, jeszcze nie koszmarnego, lecz... – Kimże jest jegomość w wytartym kapeluszu, co mnie zwabił do wozu; rozmowny w pierwszym momencie, a teraz odpowiadający na pytania półsłówkami lub co najwyżej zwrotami w rodzaju „niedługo wszystko się wyjaśni”? Dlaczego porozumiewa się z kierowcą po rosyjsku? Zaś teraz... Automobil skręca z traktu na łąki; szofer chce chyba ominąć punkt kontrolny? Co to znaczy, u licha?

Żeromskiemu trudno było zebrać myśli.

– Trzeba spokojnie przeanalizować ciąg ostatnich zdarzeń – przymknął oczy jak zwykle, gdy zmierzanie się z kolejną literacką kwestią wymagało przypomnienia sobie paru akapitów wcześniejszych. – Automobil zajechał przed dom, gdy akurat wychodziłem z bramy; raczej to nie przypadek, lecz musiał być zaczajony gdzieś w pobliżu. Z wozu wysiadł ten jegomość i upewniwszy się, że ze mną ma do czynienia, zaproponował podwieźć na zaproszenie wydawcy, winnego mi zaległe honoraria. Ponoć niezłą gotówkę! Wymamrotał nazwisko, lecz nie dosłyszałem. Martwicki, czy tak jakoś? Trudno teraz sobie przypomnieć, bo tyłu już miałem na przestrzeni lat dłużników! Może nie na kopy ich liczyć, lecz ze dwa tuziny na pewno!

Na poły bezwiednie począł zginać i prostować palce, jakby tą sztubacką metodą mógł się niesolidnych doliczyć.

– Nie czas mi było wypytywać o szczegóły na trotuarze, w ulewie, więc wskoczyłem do automobilu – kontynuował rozważanie po chwili. – Ale czemu ten zalegający z pieniędzmi wydawca chce uregulować zobowiązania akurat dziś, gdy bolszewicy pod Warszawą? Może wobec traumy ruszyło go sumienie. Teraz mkniemy gdzieś już chyba godzinę. Nie tak szybko jedziemy jak ulicami stolicy, bo odbiliśmy na pobocze i manewrujemy po łąkach, między wioskami. Lecz to zrozumiałe; wszak na głównym trakcie – widocznym co jakiś czas spoza chałup – pojawiają się konnica i wozy.

Wreszcie ukazał się Radzymin, który Żeromski znał dobrze sprzed wojny i dlatego rozpoznał mimo egipskich ciemności. – Ale czy miasto nie

jest teraz w rękach bolszewików? Na rynku kilka domów zburzonych, tu i ówdzie dym, absolutna cisza.

Kierowca jakby nabrał odwagi i główną już drogą pędził w kierunku Wyszkowa. Chyba wątpił w możliwość przejazdu głównym mostem na Bugu, bo sporo wcześniej skręcił w stronę wiaduktu kolejowego.

– A może zostałem porwany? – przestraszył się Żeromski. – Ale przez kogo i po co? Zresztą nawet taką sytuację można by przetworzyć w interesujący reportaż! Jeśli się w miarę dobrze skończy wszystko...

– Uff, odetchnąłem – odezwał się wreszcie po długim milczeniu facet w wytartym kapeluszu. – Czerwonoarmiści rozłożyli na szynach deski, więc nie musimy pchać samochodu po podkładach torów.

Siedzieli za stołem na plebanii. Gospodarze w sutannach przedstawili się zaraz przy powitaniu: proboszcz Wiktor Mieczkowski i wikariusz, ksiądz Modzelewski. Sędziwy pleban podał przyjezdnym herbatę, wskazał na cukiernicę. Towarzysz jazdy w samochodzie wypił duszkiem – widać było, że chce się szybko wycofać. Wkrótce zniknął.

Gdy proboszcz kontynuował zaczęte wcześniej opowiadanie, często napomykając o niedogodnościach dni ostatnich, Żeromski przyglądał się twarzom pozostałej trójki. Dwie wydały mu się dziwnie znajome. – Ten na wprost, to przecież... Tak – nie może być najmniejszych wątpliwości, chociaż sporo się postarzał – to doktor Marchlewski, Julian Marchlewski! Pierwszy raz spotkałem go przed laty w raperswilskiej bibliotece, gdzie dane mi było pracować czas jakiś. Jeszcze w XIX wieku! Przyszedł po książki w towarzystwie niepokążnej kobiety, potem się dowiedziałem, że to Róża Luxemburg! Czyż można było wówczas odgadnąć dalszy bieg historii? Lecz z Marchlewskim łączyło mnie coś więcej jeszcze – był wydawcą książek, które dałem przetłumaczyć na niemiecki. Firma działała w Monachium. Ta współpraca wyraźnie nie wyszła, może panu Julianowi brakowało smykałki do interesów? W dodatku wspólnik – niejaki Parvus – nie robił wrażenia solidnego człowieka, a w 1905 roku po prostu zniknął. Ponoć wyjechał na rewolucję do Rosji. Nadal trzymam pochodzące z tego okresu umowy translatorskie i wydawnicze, w których spisane są statuty, kontrakty, ugody, zapewniające mi niby znaczne korzyści materialne. A faktycznie, to wzbogaciłem się tylko o autografy doktora Marchlewskiego. Chociaż... Z upływem czasu, nawet już w przyszłości najbliższej, mogą one rosnąć w cenie u kolekcjonerów osobliwości, może nawet muzealników. Wiadomo dlaczego.

Żeromski westchnął. Machinalnie upił łyk herbaty.

– A ten drugi, postać zniszczona, jak liść zwiędły – nietrudno się domyślić, że wieloletni katorżnik – to Feliks Kohn, którego spotkałem na procesie Brzozowskiego w Krakowie. Był sędzią, a ja świadkiem. Rozmawialiśmy ze sobą raczej krótko, lecz kilkakrotnie spotykali na sali podczas rozprawy. Czy mnie jeszcze pamięta?

Żeromski łypnął okiem na postać z bródką.

– Zaś trzeci, którego poznać nie miałem okazji? Marchlewski, Kohn i...? Jak słysząc *mane, tekel* każdy człek kształcony doda, bezwiednie nawet, *fares* – tak i mnie, po nazwiskach Marchlewski, Kohn, przychodzi do głowy tylko jedno: Dzierżyński, Feliks Dzierżyński!

W tym momencie pleban skończył swą przydługą opowieść – a może tylko głos zawiesił? W każdym razie Marchlewski wszedł mu w słowo, zwracając się do Żeromskiego.

– Witam, witam panie Stefanie, jest mi niezmiernie miło! Ile już lat minęło i nie spodziewaliśmy się wszakże spotkania pod Warszawą, w takich okolicznościach. Gdy polski lud pracujący przejmuje władzę w swe ręce! Przyszedł wreszcie czas, by się rozliczyć – skinął na Dzierżyńskiego, który sięgnął w okolice kieszeni.

Żeromski w momencie zbladł i przez wyschnięte gardło zdołał wymamrotać: – Na litość Boską, cóż ja jestem wam winien... I tak od razu, bez sądu? – Marchlewski zaniemówił, nie rozumiejąc interlokutora, lecz po chwili zareagował szczerym śmiechem.

– Dowcipnyś Pan bardzo, panie Stefanie, ale oczywiście to ja, z długu mojego teraz się rozliczam! Towarzysz Dzierżyński nosi wszystkie nasze pieniądze, wszak w jego rękach są najbezpieczniejsze!

Marchlewski rozwinął zmiętą kartkę pożółkłego już papieru. – Tak, winien jestem Panu za sprzedane przed 1905 rokiem, tłumaczone na niemiecki, *Popioły* oraz *Rozdziobią nas kruki, wrony*. Płacę dziś naszymi sowieckimi rublami. Może kurs przymusowy, jeden rubel do jednej polskiej marki, nie jest dla Pana korzystny – daję więc ze sporą nawiązką! Aha, może dziwi się Pan, że daję sowieckie ruble? Tak jest wygodniej dla nas obu; przecież za dzień, lub dwa, armia czerwona wkroczy do Warszawy!

Żeromski nie był w stanie wydusić z siebie słowa, co zakłopotало Marchlewskiego.

– Księżę kanoniku, proszę jeszcze dolać gościowi herbaty, a Pan, panie Stefanie, niech się częstuje cukrem bez ograniczeń, to nie jest na koszt proboszcza, przywieźliśmy te spore kostki ze sobą. Nie widział Pan chyba

takich w latach wojny? Pewnie nawet nigdy wcześniej! Najwyższej klasy rafinada!

– Cukier bolszewicki? – wykrztusił wreszcie Żeromski, chcąc raczej spróbować, czy mowę odzyskał, niż by dręczyła go w tym względzie ciekawość.

– Ach nie – odrzekł Marchlewski po krótkim zawahaniu, jakby chciał sobie przypomnieć – To jeszcze carski cukier, ale i nasz oczywiście wkrótce będzie, choć może nie od razu. Teraz mamy inne priorytety: musimy nakarmić masy, rozdać ziemię, przejąć fabryki... W ten sposób, panie Stefanie, gładko przechodzimy do sprawy ważniejszej chyba, niż te zaszciości sprzed lat. Otóż, zapewne Pan słyszał, bo prasa warszawska o tym pisze, choć nie zawsze całkiem prawdziwie. Więc, jak wiadomo, z końcem lipca powstał w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski i z jego przedstawicielami siedzi Pan właśnie przy stole! Warszawa już blisko, więc spieszenie poszukujemy komisarza do spraw oświecenia publicznego, kultury – nazwa jest w tej chwili rzeczą drugorzędną – który pełniłby funkcję, jakby to po staremu powiedzieć, ministra. Winien być to człowiek czuły na krzywdy społeczne, a zarazem znany, by Polacy mogli mu bez wahania zaufać. Jak przed paru dniami dyskutowaliśmy w naszym gronie, zmiarkowaliśmy, że właśnie Pan...

– Czyście oszaleli? Oszaleli! – siła głosu Żeromskiego była widowym dowodem, że z nawiązką mowę odzyskał.

Gdyby jakiś zapóźniony wyszkowianin przechodził tej nocy koło plebanii, to zdziwiłoby go zapewne światło, palące się tak długo w jednym z pokoi. Żeromski dolał nafty do lampy i spojrzął na cyferblat odziedziczonego po ojcu zegarka.

– Już czwarta prawie, a ja dopiero teraz kończę szkic wystąpienia! Komu patrzeć w twarz, gdy będę rano przemawiał: Marchlewskiemu czy Dzierżyńskiemu? Raczej temu pierwszemu, bo go znam od dawna i się nie boję. Kohn na pewno w grę nie wchodzi, bo przecież został w całą sytuację wplątany i chyba nie do końca jest tego świadomy. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Stefan Żeromski nie był zadowolony z przebiegu wczorajszej rozmowy. Brakło mu refleksu, a może i śmiałości księży; miast rozliczać tych nieproszonych gości jako intruzów, robił tylko uniki w obliczu ich zaskakującej propozycji. Lecz kolejne spotkanie już dziś, zaraz po śniadaniu! Błędy można będzie naprawić, a potem, z czystym sumieniem, odespać noc.

Rozwijając pokrytą gęstym maczkiem kartkę, przysunął się do lampy:

„– Kim jesteście, panowie, głoszący się polskim rządem? Czy to polski lud was wybrał, czy ktokolwiek wyrosły z tej ziemi zamianował? Namaszczeni zostaliście w obcym kraju, przez towarzyszy z partii. Przywieśliście armię nie tylko nam ale i wam obcą! Ludzi ciemnych, żądnych obłowienia się i żołdackiej rozpusty.

W pierwszych dniach naszej wolności, całą Moskwę na nas zwaliliście! Przecież nie zapraszali was ani polscy chłopci, ani robotnicy, ani ktokolwiek żyjący na tej ziemi. A kiedy już weszliście... Na waszym sumieniu leżą gwałty, niszczenie zabytków przeszłości, pamiątek po praojcach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki. Jadąc tutaj widziałem spalony Radzymin, a niedaleko Wyszkowa zniszczono majątek Rybienko... Za te wszystkie zniszczenia wy właśnie jesteście odpowiedzialni!

Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, ten się sam wyzuł z ojczyzny! Nie może ona być dla niego domem, ni miejscem spoczynku! Na ziemi polskiej nie winno być dla was ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła...”

Przerwał czytanie. – Chyba jednak za mocno to ująłem? – konstataował. – Uniosłem się, zapomniałem, że piszę konspekt przed rozmową, a nie przemowę na wiec, czy wstęp do książki! Lecz... Przecież za parę godzin, siedząc wspólnie przy stole, nie dopowiem im tego „kazania” do końca; na pewno mi przerwą, a co odpowiedzą, co się stanie dalej, zobaczymy.

Zadumał się.

– Inna sprawa, czy oskarżenie nie idzie zbyt daleko – że wroga na Polskę sprowadzili? Przecie oni nie szli na czele, lecz z tyłu, za wojskiem Tuchaczewskiego; są dopiero w Wyszkanie, gdy wróg zajął Radzymin, a teraz dociera już może na przedmieścia Warszawy... Marchlewski, Dzierżyński i Kohn jawią się na kształt wron i kruków raczej, niż wilków. A wczoraj przy stole Marchlewski był słodki. Jak ten cukier...

Żeromski zmarszczył brwi.

– Pozostaje jeszcze jedna wątpliwość; czy mam prawo przybierać rolę moralisty, pisarza reprezentującego Naród? Czyż nie jest to uzurpacja? Ale, skoro dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem na spotkanie z tymi ludźmi...? Może to Opatrzność wysłała mnie na wyszkowski posterunek obrony świętego ognia wolności?

Wiatr poruszył firanką.

– Lecz chyba dmę w ten róg za mocno? – spostrzegł, że wyobraźnia pognęła zbyt daleko.

Zastygł na moment z głową w dłoniach.

– A może trzeba tym panom palnąć po prostu jednym tylko zdaniem, że odrodzona Polska jest skarbem zbyt wielkim, by poddawać ją eksperymentom politycznym i socjalnym nigdzie nie sprawdzonym, nie wiadomo dokąd prowadzącym! Chociaż, raczej pewne dokąd wiodącym; ku przywróceniu wielkorosyjskiej dominacji.

– Panie szanowny, jajecznica stygnie, wszyscy już zjedli śniadanie, a Pan jest ostatni! – usłyszał niespodzianie z parteru wołanie gosposi.

Wyciągnął z kieszeni zegarek, była dopiero siódma rano.

– Co u diabła, posiłek zapowiadany był na dziewiątą, a tymczasem... I już wszyscy zjedli, jadalnię opuścili?

Zbiegając po schodkach, prawie wpadł na Kohna.

– Panie Stefanie, chcę się pożegnać! Wracamy do Białegostoku, bo Piłsudski ma jednak bronić Warszawy. Tak doniósł nasz wywiad. Przybyli mu na odsiecz Francuzi, choć nie wiadomo w jakiej liczbie. Następuje przegrupowanie armii czerwonej, a Wyszaków będzie chyba czasowo zajęty przez białych Polaków. Wtedy może Pan wrócić do domu z tym wojskiem. Radziłbym podawać się za korespondenta wojennego, a o spotkaniu z nami nic nie mówić, bo różnie mogą oceniać te „konszachty”. My oczywiście do Warszawy wejdziemy, lecz rzecz się opóźni. Może nawet o miesiąc, albo dwa. Do zobaczenia więc w stolicy, lub... W jakimś innym miejscu, w bezpiecznych czasach. Teraz proszę jednak uważać, by wycofująca się „Czeka” nie aresztowała Pana pod byle pretekstem, jak podporucznika Wołowskiego i sześciu jego żołnierzy... Ojej, za dużo chyba Panu powiedziałem.

Feliks Kohn wybiegł z plebanii, rozległ się trzask drzwiczek, zawarczał motor i automobil ruszył w kierunku Białegostoku. Wkrótce dołączyła obstawa wojskowa. Z podwórza dochodził już tylko zapach benzyny i spalin.

Roztrzęsiony Żeromski wpadł do jadalni i zanurzył spiekle usta w wystygłej herbacie. – Można by posłodzić, przecież spieszący się Marchlewski nie myślał chyba o zabranianiu tych bolszewickich czy carskich kostek? W dodatku trafia mi się okazja, by napełnić kieszenie.

Ruszył do salonu, lecz już we drzwiach spostrzegł, że przybywa za późno. Proboszcz i wikary dzielili się ostatnimi resztkami z cukiernicy.

⁽¹⁾Opowiadanie jest fikcją historyczno-literacką; Stefanowi Żeromskiemu nigdy nie proponowano objęcia wzmiankowanego urzędu.

Anna Paterek

Godło: „Słonecznik”, Bydgoszcz

wyróżnienie proza

NASZ ANCYMON

W moim rodzinnym domu od niepamiętnych czasów stał fortepian. Wielki, majestatyczny, czarny jak smoła, wypolerowany na błysk. I okropnie złośliwy. Dziadunio mówił na niego „nasz ancymon”.

– Może on z jakiego robaczego drzewa jest zrobiony? – często się na głos zastanawiał. Taaak, to musi być złe drzewo... Nie żaden grab tylko drzewo Judaszowe! Licho się w nie wgryzło głęboko, to i nic dobrego z takiego fortepianu być nie może... – z ciężkim westchnieniem dodawał.

Ancymon całe noce harcował, nikomu spać nie pozwalał. Niczym dziki żrebak po salonie cwałował, aż cały dom trząsał się w posadach. Gdy był w wesołym nastroju, tak głośno skoczne obertasy i mazury wystukiwał, że kryształowe kieliszki po prapraprababce jeden po drugim o podłogę się z hukiem roztrzaskiwały. Gdy z kolei melancholia go dopadała, grał smętne elegie i nokturny, a wszystkie kociska i psy z okolicy mu w tym przeciągłym wyciem wtórowały.

Babunia, która z tego wszystkiego niejednego globusa dostała, do wód wyjechała, aby skołatane nerwy podleczyć.

Ancymon niczego się nie bał i nikogo nie słuchał. Ile to się moi biedni rodzice wstydu przez niego przy ludziach najedli! A to „niechcący” komuś połę od fraka albo falbanę od wizytowej sukni przydepnął, a to palce pokrywą od klawiatury przytrzasnął. Raz na ważnym spotkaniu w interesach dał dyrektorowi banku takiego kopniaka w pewne wstydlive miejsce, że tatko miał potem duże nieprzyjemności i korzystne procenty koło nosa mu przeszły. Ale nawet najgorsze wybryki ancymonowi zawsze płazem uchodziły, bo i często uciechę budził, i przymilić się potrafił.

Przyszła jednak wreszcie kryska na Matyska, gdy w domu urządzono koncert, na którym cała okoliczna śmietanka towarzyska się pojawiła. Do fortepianu zasiadła światowej sławy pianistka – Oksana Ondraszko, a ancymon małego rozumu dostał. Najpierw pedałem jej na stopę nadepnął, a potem zerwał z szyi sznur drogocennych pereł, które się na wszystkie strony rozsypały. Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. Gdy pianistka próbowała gości melodiami Chopina uraczyć, ancymon na przekór tylko

„Włazi kotek na płotek” albo ludowe przyspiewki wygrywał.

Tatko zrobił się najpierw błądy, potem purpurowy, a następnie siny na twarzy i ciężkiego ataku apopleksji był bliski. Gdy oprzytomniał, ancymona okrutnie zwymyślał i zaczął mu wygrażać, że go do tartaku sprzeda i na zapałki przerobić każe. W przypiływie gniewu chciał go od razu przed dom wyciągnąć i na pastwę losu zostawić, ale fortepian tak się zaparł, że tatko nie dał rady go ruszyć z miejsca nawet o milimetr. Ancymon potem przez trzy dni i trzy noce grał bez przerwy tak żalosne, tak płaczliwe i tak rozdzierające marsze żałobne, że tatko, który miał z natury miękkie i dobre serce, bardzo się wzruszył i przewinę wybaczył. Poprzysiął mu jednak uroczyście koniec swawoli.

– Jest rozpuszczony jak dziadowski bicz! Ancymonowi trzeba cugli przykrócić i moresu go nauczyć, żeby się zachowywał, jak na porządnym fortepianie przystało! i huknął pięścią w stół, aby swoim słowem nadać powagi.

Jak tatko postanowił, tak zrobił. I grosza przy tym nie szczędził. Dał ogłoszenie do gazety, że kto ancymona poskromi, ten pół majątku w nagrodę dostanie.

Wielu zawodowych stroicieli oraz przypadkowych śmiałków gałgana utemperować próbowało. Pomysłów mieli na to bez liku.

– A może jemu za zimno? – zastanawiał się pierwszy. – Wieczne przeciągi, po salonie hula wiatr... Trzeba go porządnie wygrzać! – przekonywał.

Zatem mimo upalnego lata fortepian grubymi kocami okryto i tak w piecach rozpalono, że się na pół okolicy z komina dymiło, a od buchającego żaru pot po wszystkich strumieniach spływał. Z tego gorąca dziaduniowi nawet fatamorgana się ukazała.

– A może jemu za ciepło? – rozmyślał drugi. – Dużo świeżego, rześkiego powietrza mu trzeba. Ot co! – twierdził.

Zatem mimo siarczystego mrozu okna na oścież pootwierano i zaczęto tak solidnie wietrzyć, że szron na posiniałych z zimna domownikach osiadał, a na oblodzonej podłodze można było na łyżwach piruety kręcić.

– A może jemu brakuje przestrzeni? – dumał trzeci. Ciągłe zamknięty jak więzień w czterech ścianach siedzi. Chciałby na pewno na łono natury wrócić, z przodkami-drzewami się spotkać. Postoi trochę na dworze, to się uspokoi! – utrzymywał.

Zatem postawiono ancymona w ogrodzie. Jednak sąsiedztwo pylącej wierzb i stawu mu wyraźnie nie służyło. Zaczął tak kichać i kaszleć, że wypłuł cztery klawisze.

Zła sława ancymona dotarła też do uszu najwybitniejszego stroiciela fortepianów doktora Wiolinusza Doremido, który specjalnie długą i męczącą drogę z Azji przebył, żeby go na własne oczy zobaczyć.

– No kochaneczku, zaraz wyśpiewasz mi wszystko, co ci tam w duszy gra – oznajmił protekcyjnym tonem. – A teraz otwórz ładnie buźkę! Szeroko! – rozkazał.

O dziwo fortepian usłuchał i podniósł wieko najwyżej, jak potrafił. Jednak, gdy tylko doktor się nad nim pochylił, szybko je zatrzasnął, jakby chciał go na pół przegryźć. Trzeba było się nieźle nasiłować, żeby wrzeszczącego stroiciela ze środka za nogi wyciągnąć.

Nic nie pomagało. Tatko rwał ostatnie włosy z głowy a matuchna do reszty posiwiiała.

– Nie ma dla nas ratunku! – zawodzili, w objęcia sobie padłszy.

– A może ancymon samotny się czuje i towarzyski życia mu potrzeba? – wypalił pewnego dnia dziadunio.

– Też wymyślił! – oburzał się tatko. A po czym ojciec wnosi, że to jest samiec? – pytał kpiąco.

– Po... – zaczęła dziadunio, ale matuchna szybko mu przerwała.

– To nie są rozmowy dla małych uszu – powiedziała z przyganą w głosie i tak oto niczego się nie dowiedziałem, choć bardzo byłem ciekawy, co też dziadunio miał na myśli.

– A skąd ja mu fortepian płci odmiennej wezmę?! I jeszcze z rodowodem?! – złościł się tatko.

– Hmm... W kawiarni w miasteczku pianino mają... Rodzaju żeńskiego stwierdził dziadunio.

– Toż to mezalians! Forte pian z dobrego domu i kabaretowa rozpustnica?! – oburzał się tatko. – Po moim trupie! – krzyczał.

Ale ancymon, który wszystko usłyszał, strasznie się do tego pomysłu zapalił. Zaczął tak dokazywać, że wytrzymać było niepodobna. Co było robić – tatko ostatniej deski ratunku się chwycił i sprowadzono do domu pianino.

Ach, jakże „panna Dżiga”, z dalekiej Szkocji rodem, od eleganckiego ancymona się różniła! Odrapana, wyblakła i przykurzona liczne ślady trudów życiowej tułaczki nosiła. Grała same lekkie i frywolne utwory, niezbyt czysto w dodatku, bo samoukiem była i zerwane dwie struny oraz nadłamane „C” miała.

Nasz ancymon jednak na to nie zważał. Wpatrzony w pannę Dżigę jak w obrazek z wrażenia klawiszy w gębie zapomniał i przez tydzień z siebie prawie żadnego dźwięku nie wydał. Z miejsca psot też zaprzestał i niczym murgrabia się przy niej mądrzył i krygował.

– To cud! – tatko padł na kolana i kilka chusteczek ze szczęścia zapłakał.

Panna Dżiga także serca domowników podbiła, bo i chichotka niespotykana, i prawdziwa dusza towarzystwa z niej była. Wreszcie upragniony spokój zapanował i w dodatku babunia po latach do domu wróciła. Co prawda również i panna Dżiga gorsze chwile miewała: a to ze złości nóżką tupnęła, a to karmelki z kredensu wyjadła, a to od czasu do czasu potajemnie nalewki wiśniowej tatki posmakowała, a raz nawet... Ale to już osobna historia.



Tomasz Figiel
Godło: „Boreyko”, Kraków
wyróżnienie proza

ZAWICHOJSKIE OPOWIEŚCI

Tajemnice cmentarza żydowskiego

Zawichojski cmentarz żydowski, położony na terenie zwanym „Piaski”, jest chyba najbardziej tajemniczym miejscem w całym mieście. Na jego obszarze nie zachowała się żadna macewa, jedynie na samym środku wznosi się dwumetrowy, prostopadłościenny pomnik zwieńczony płaskorzeźbą menory, który upamiętnia zamordowanych podczas wojny Żydów. Wątpliwości budzą zarówno podania dotyczące czasu powstania cmentarza – rozbieżności wahają się od XVII do XIX wieku, jak i dawne, przedwojenne plany, z których wynika, iż zawichojski kirkut był kilkukrotnie większy niż współcześnie i w dużej części znajdował się na terenach obecnie zamieszkałych. Najdziwniejszy mimo wszystko zdaje się brak śladów jakichkolwiek grobów, co jest dość trudne do wyjaśnienia, biorąc pod uwagę, że przed wojną ludność żydowska stanowiła większość mieszkańców miasta.

Najbardziej racjonalnym wytłumaczeniem tego fenomenu jest fakt, iż w trakcie drugiej wojny światowej na polecenie Niemców rozbito wszystkie żydowskie nagrobki, a powstały w ten sposób tłuczeń zużyto do wysypania jednej z ulic. Żaden z żyjących mieszkańców nie potrafi wskazać jednak,

która droga nosi w sobie piętno dawnej nekropolii ani też nikt nie pamięta osobiście takiego zdarzenia – wszyscy, którzy o tym mówią, informację tę jedynie gdzieś zasłyszeli.

W podaniach ludowych funkcjonuje również inna hipoteza, która choć wiąże się z czasami wojny i nazistowskiej okupacji, jest o wiele bardziej tajemnicza i mimo że niektórzy podchodzą do niej dość sceptycznie, innym wydaje się całkiem prawdopodobna.

Gdy w roku 1940 Niemcy wkroczyli do Zawichostu, utworzyli getto, które zajęło znaczną część Prosperowa, żydowskiej dzielnicy miasta. Olbrzymie rozmiary tego więziennego obozu pozwalały oprawcom na zwożenie doń Żydów ze wszystkich okolicznych miejscowości, zarówno z lewej, jak i z prawej strony Wisły, tak że liczba przetrzymywanych tu osób wzrosła dwukrotnie i wynosiła ponad pięć tysięcy. Jak powszechnie wiadomo, Niemcy nie oszczędzali nikogo. W getcie znalazły się osoby dorosłe, ludzie w podeszłym wieku oraz małe dzieci – znaczna większość pochodzenia żydowskiego, choć zdarzało się, że i Polacy, którzy próbowali przyjść im z pomocą lub ci sprzeciwiający się hitlerowskiej polityce, trafiali tu za karę.

Pod koniec 1942 roku rozpoczęto likwidację getta i w związku z tym część przetrzymywanych w nim więźniów przesiedlono, a pozostałych wymordowano. Mówi się, że wtedy to grupa niemieckich oficerów pod osłoną nocy spotykała się na żydowskim cmentarzu, by uczcić swoje zwycięstwo nad Zawichostem, śpiewając nazistowskie pieśni i wyrażając pogardę dla swoich ofiar poprzez niszczenie nagrobków. Kirkut stał się miejscem libacji, podczas których pijackie okrzyki i dźwięk rozbijanych stel niosły się na całą okolicę.

Pewnej nocy odurzeni alkoholem Niemcy ujrzeli w oddali Żyda idącego przez cmentarz. W jednej chwili zamilkli i niedowierzali, że ktokolwiek taki mógł się ukrywać w miejscu, gdzie przez dwa lata funkcjonowało getto. Mężczyzna zatrzymał się i złowrogim wzrokiem spojrzął na żołnierzy, po czym wypowiedział słowa: „dam berosz”, a następnie zaczął oddalać się w ciemność. Niemcy jeszcze bardziej się zdziwili i nie mieli pojęcia, kto to jest oraz co do nich mówi. Jeden z oficerów, zeskoczywszy z grobu, pobiegł za Żydem i gdy był tuż za nim, wyjął pistolet i strzelił mu w plecy. Nie mógł wyjść ze zdumienia, kiedy okazało się, że kula przeleciała przez ciało mężczyzny, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy, a następnie człowiek ten rozplynął się jakby w powietrzu i po chwili nie było po nim ani śladu.

„Krew na głowę”, bo to w ścisłym tłumaczeniu znaczyły słowa wypowiedziane przez Żyda, znamionowały, iż Niemcy poniosą karę za przelanie krwi i miały być dla nich napomnieniem, aby przestali dewastować

cmentarz. Ci jednak nie znali hebrajskiego, więc nie byli w stanie zrozumieć przekazu, zresztą, jak można przypuszczać, i tak nie potraktowali by go poważnie. Gdy po chwili wrócił żołnierz, który strzelał do tajemniczego mężczyzny i spanikowany opowiedział swoim kompanom o tym, co się wydarzyło, został przez nich wyśmiany, a całe zajście złożono na karb ciemności i alkoholowego upojenia.

Tak więc Niemcy dalej organizowali nocne schadzki na cmentarzu, niszczyli nagrobki, wykrzykiwali nienawistne, antysemityczne hasła, w wulgarny sposób świętując swoje zwycięstwo. Pewnego razu ziemia zaczęła się trząść i żołnierze ledwo mogli utrzymać się na nogach. Teraz nikt już nie miał wątpliwości, że to nie skutek wypitego alkoholu, lecz działania jakiejś niepojętej siły. Przerażeni, chcieli uciekać z cmentarza, jednak żaden z nich nie był w stanie wykonać ani kroku. Groby zaczęły się zapadać, ziemia wciągnęła je do środka, a wraz z nimi niemieckich żołnierzy. Przez chwilę jeszcze było słyhać ich rozpaczliwe krzyki, aż nagle wszystko ucichło.

W ten sposób zawichojski kirkut pozostał pusty i do tej pory nie odnaleziono na nim śladu ani jednego ciała. Obecnie cmentarz, pograżony w cieniu topoli, na których gnieźdzą się złowrogo kraczące gawrony i kruki, nie jest odwiedzany przez nikogo, gdyż nie za bardzo wiadomo nawet, czyje spoczywały tu zwłoki, natomiast od czasu zapadnięcia się grobów mało kto ma odwagę przychodzić w to miejsce po zmroku, tym bardziej, iż nieraz donoszono o słyszanych na kirkucie krzykach oraz tajemniczej postaci żydowskiego mężczyzny, który ponoć pilnuje spokoju dawnej nekropolii.

Jadwiga i Jakub

Barokowy pałac w Czyżowie Szlacheckim jest bez wątpienia najokazalszym obiektem gminy Zawichost. Położony na wzgórzu, które – jak głosi legenda – zostało usypane przez tatarskich jeńców, otoczony piękną zielenią, od zawsze przyciągał turystów i podróżników z całej Polski. W okresie międzywojennym bywali tu znani wszystkim pisarze, jak Władysław Reymont i Witold Gombrowicz, malarze: Karol Frycz i Leon Wyczółkowski, a także gościli polscy prezydenci: Stanisław Wojciechowski i Ignacy Mościcki. Wszyscy oni, jak wiadomo, bardzo pozytywnie i z wielkim sentymentem wspominali pobyt w czyżowskim pałacu i zgodnie twierdzili, że jest to miejsce niezwykle. Każdy zresztą, kto choć raz tutaj zawita, odjeżdża stąd z wrażeniem, jakby na jakiś czas przeniósł się do innego świata. Wpływ na to ma nie tylko urokliwe położenie i otoczenie pałacu, wspaniała architektura i pięknie zdobione wnętrza, ale przede wszystkim – jak wielu donosi – wyjątkowa atmosfera spokoju, harmonii, a nawet miłości.

Aby zrozumieć fenomen tego miejsca, należy się cofnąć aż do czasów średniowiecza. Na początku XV wieku żył w ziemi zawichojskiej kasztelan Michał z Czyżowa. Był to człowiek wyjątkowo nieuczciwy, skąpy i często, by osiągnąć swoje cele, posuwał się do występków niegodnych piastowanego przez siebie urzędu. Wykorzystując swoje stanowisko, kazał nawet rozebrać mury kościoła i klasztoru klarysek w Zawichoście, a z ukradzionych materiałów zbudować zamek w Czyżowie. Za ten czyn został później ukarany przez ówczesnie panującego Władysława Jagiełłę i wtrącony do lochu. Nim jednak to się stało, kasztelan przez kilkanaście lat mógł cieszyć się swoim dostatnim życiem w zamku, który uczynił miejscem uciech i rozpusty.

Michał z Czyżowa miał jedną córkę, której matka zmarła przy porodzie. Aby zyskać przychylność króla i odwrócić jego uwagę od swoich wybryków, nazwał ją Jadwiga i wiadomo było, że imię to nadał jej na cześć pierwszej żony Władysława Jagiełły. Jako że kasztelan nie był osobą ani lubianą, ani szanowaną przez miejscową ludność, a wśród czyżowskiej społeczności znajdowali się wyłącznie jego służący albo wrogowie, córka była jedyną bliską mu osobą. Michał zdawał sobie z tego sprawę, a ponieważ Jadwiga odznaczała się niesłychaną urodą, miał świadomość, że kiedy zacznie dorastać, pojawią się zalotnicy ubiegający się o jej rękę, toteż chcąc uniknąć samotności, postanowił zamknąć ją w komnacie i nigdy nie wypuszczać poza mury zamku.

Jadwiga miała wszystkiego pod dostatkiem. Kasztelan przydzielił nawet córce służącą, której zadaniem było spełniać każdą jej zachciankę. Jako ojciec pragnął, aby Jadwidze niczego nie brakowało, lecz jego warunek był taki, że zostanie z nim aż do jego śmierci, a ponieważ nie ufał jej i obawiał się, że kiedyś może go opuścić, przez cały czas trzymał ją zamkniętą w komnacie, której dzień i noc pilnowali strażnicy. Trwało to przez całe lata. Jadwiga wielokrotnie błagała ojca, aby pozwolił jej wyjść z zamku. Zawsze jednak bezskutecznie. Próbowwała namówić służącą, żeby pomogła jej w ucieczce, chciała przekupić strażników, ale nikt nie miał odwagi sprzeciwić się rozkazom kasztelana. Kiedy Jadwiga była w wieku szesnastu lat, uznała, że nie chce dłużej żyć w ten sposób i postanowiła skończyć ze sobą. Wzięła do ręki wiszący na ścianie sztylet i z całej siły dźgnęła się nim w serce.

Po tym zdarzeniu wzgórze zamkowe stało się miejscem nawiedzonym. Duch Jadwigi pojawiał się niespodziewanie w różnych miejscach i wydając przeraźliwe dźwięki, straszył zarówno mieszkańców zamku, jak i wszystkich, którzy się do niego zbliżali. Mijały lata, kasztelanowie się zmieniali, a zjawa wciąż była obecna. W XVII wieku zamek został doszczętnie zniszczony podczas potopu szwedzkiego. Niecałe sto lat później na pozostałych ruinach Aleksander Zaklika Czyżowski wznosił okazały pałac. Jednak i w nowej

rezydencji duch zmarłej dawał o sobie znać i był zmorą dla wszystkich, którzy tu przebywali. Wydawało się, że miejsce to już na zawsze pozostanie nawiedzone. I być może tak by było, gdyby nie pewna historia, która się tu wydarzyła.

W drugiej połowie XIX wieku służącym w pałacu był młody chłopiec o imieniu Jakub. Nie miał on nikogo bliskiego, gdyż cała jego rodzina zginęła w powstaniu styczniowym. Pozostawiony sam sobie prędzej czy później zapewne skończyłby w nędzy, lecz ze względu na wojenne zasługi ojca postanowiono zlitować się nad nim i dać mu zatrudnienie w pałacu. Jakub miał zapewniony dach nad głową i nie musiał się martwić, że umrze z głodu, ale w zamian za to wykonywał bardzo ciężką pracę. Do jego powinności należały: pielęgnacja olbrzymiego ogrodu, sprząatanie całego pałacu, a także usługiwanie przybyłym gościom. Każdego dnia wstawał wcześnie rano, a kiedy kończył pracę, była już późna noc. Życie Jakuba upływało jedynie na obowiązkach i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może się zmienić.

Pewnego razu i jemu ukazał się duch Jadwigi. Nie przestraszyły go jednak wydawane przez nią odgłosy, za to od razu zwrócił uwagę na jej nieprzeciętną urodę.

– Ależ ty jesteś piękna! – powiedział. – Skąd się tutaj wzięłaś i co tu robisz?

Jadwiga ucichła, a po chwili niebiańskim głosem rzekła:

– Nareszcie ktoś zwrócił na mnie uwagę. Tyle lat na to czekałam.

Opowiedziała Jakubowi swoją historię. O tym, jak ojciec zamknął ją w komnacie, o swoim samobójstwie i o tym, że przez całe stulecia ludzie od niej uciekają, bo boją się jej zawrodożenia. On był pierwszą osobą, która się do niej odezwała i tym samym ulżył jej w cierpieniu, na które została skazana za popełnienie samobójstwa. Od tej pory Jadwiga przychodziła do Jakuba co noc i spędzali ze sobą cudowne chwile, doświadczając szczęścia, jakiego nigdy wcześniej nie zaznali.

Jedna tylko rzecz trapiła Jakuba. Nie mógł dotknąć Jadwigi, gdyż wyciągając do niej rękę, natrafiał na pustkę. Wiele razy chciał ująć jej dłoń, lecz nie czuł jej fizycznej obecności, a ona nie reagowała na jego dotyk.

– Dlaczego nie mogę cię dotknąć? – zapytał.

– Jestem duchem, nie mam ciała – odpowiedziała Jadwiga. – Żyjemy w dwóch różnych światach.

– Co mam więc zrobić, żeby być z tobą?

– Nad drzwiami wejściowymi do pałacu wisi sztylet. To ten sam, którym odebrałam sobie życie. Jeśli wbijesz go sobie w serce, dołączysz do mnie i już zawsze będziemy ze sobą.

– Czy to jedyny sposób?

– Tak. Wiem jednak, że nie mogę cię do tego zmuszać. Wybór należy do ciebie.

Jakub, mając w głowie dalszą wizję swojego ziemskiego życia wypełnionego ciężką pracą, która z biegiem lat będzie dla niego coraz bardziej męcząca, nie wahał się długo. Poszedł po sztylet i zamknawszy uprzednio oczy, pchnął się nim w pierś.

Od tej chwili Jadwiga i Jakub już na zawsze pozostali razem. Ich miłość trwa do dnia dzisiejszego i będzie trwała po wsze czasy. Nocą, jako duchy, przechadzają się po czyżowskim pałacu, roztaczając wokół siebie aureę miłości. Zdarza się, że przybyli tu goście słyszą głosy pochodzące z zaświatów, lecz nie są to już przeraźliwe jęki, a piękne dźwięki przynoszące spokój i ukojenie.



Anna Kokot-Nowak ***Godło: „Fumikont”, Przeźmierowo*** **wyróżnienie proza**

BUTÓW WIEKUISTE TUPANIE

Czy to nie swoisty paradoks? Mówi się o zmarłych, że odeszli, ale w czym na nogach? W swoich wypastowanych, ostatnich butach, zamrożonych wraz ze sztywnymi skarpetkami i ich żółto-zielonym ciałem w kostnicy? Boso? Odeszli boso przez zaświaty? To mogłoby wyglądać niezamierzenie frywolnie, jakby spacerowali piaszczystą plażą w lipcowy dzień. Jak to boso? I nie zawadzili nogami o ostre kandy gwiazd, nie nabawili się bolesnych odcisków podczas wędrówki Drogą Mleczną, nie polaskotały ich w duży palec lewej stopy włochate cumulusy?

„Odszedł na zawsze nasz drogi brat...”, „Do wieczności odeszła nasza ukochana ciocia...”, „W wieku 100 lat odszedł wciąż młody duchem dziadek Lonia...”. Mówi się o zmarłych, że odeszli, ale przecież to na Ziemi zostawili swoje prawdziwe buty.

Młody chłopak, który zginął nagle w wypadku podczas brawurowej jazdy pierwszym, własnym samochodem – porzucił swoje ulubione adidasy gdzieś może pod niepościelonym łóżkiem, w zabałaganionym pokoju swojej dziewczyny, w bagażniku feralnego auta.

Miłośnik sportów wszelakich, fan regularnych ćwiczeń na siłowni, który zmarł z wysiłku na nagły atak serca – może zostawił swoje sportowe buty w torbie z dresami?

Elegantka – dama z pieskiem, co to długimi rzęsami zamiatała nieomal drogę przed swoimi stopami, która zmarła nagle w czasie zabiegu powiększenia piersi – może pozostawiła swoje niebotycznie wysokie szpilki w ozdobnym pudełku na obuwie, stojącym w jej przepastnej garderobie?

Siwiuteńka babuńcia – zanim opuściła na dobre ten padół łez, być może zostawiła swoje ostatnie, samodzielnie wydziergane, wełniane bamboszki gdzieś pod ulubionym, bujanym fotelem?

Zmarłe w wyniku śmierci łóżeczkowej niemowlę – z nóżkami, które nie dotykały jeszcze ziemi – pozostawiło co najwyżej miniaturowe atrapy bucików, które kochająca mama kupiła mu jako zaledwie ozdobne zwieńczenie maciupkich, słodkich stópek.

A buty pozostawione przez bezdomnego? O wytartych do na podeszwach, być może dziurawe od kilometrów wyszwendanych na miejskich ulicach, przemoczone od litrów deszczu i potu, a potem wysuszone na wiór w czasie letnich skwarów.

Po zmarłych ostają się przede wszystkim buty.

Buty czy osobne byty?

Buty z zakurzonymi, brudnymi sznurówkami i wyprane w pralkach automatycznych klasy A+++ w proszkach z mikrogranulkami, buty zdezelowane i wyblyszczone, buty rozchodzone i sztywne jak ciało nieboszczyka dobyte z czeluści chłodni. Obuwie w poszarzałych kolorach, z oderwanymi emblematami producentów, z naderwanymi zapiętkami i zagubionymi flekami. Kozaki ze złamanymi obcasami i rozerwanymi zamkami, glany z wywalonymi na wierzch, ziejącymi ozorami, buty górskie z wysokimi jak tatrzańskie szczyty cholewkami, sandały z delikatnymi, pękniętymi paseczkami i wydłubanymi oczyma cekinów. Łaczki Kubota pęknięte i rozszarpane przez domowe nogi tysiąca użytkowników, łaczki kłapiące podwójnymi i potrójnymi wachlarzami spodów. Półbuty przydeptane i popękane, skórzane i sztuczne, pachnące jeszcze prawdziwą skórą i te z azjatyckiego plastiku. Toksyczne, rakotwórcze i neutralne zdrowotnie.

Jak przejmująco wyglądają po śmierci swoich właścicieli, jakie są opuszczone – rzucone gdzieś niedbale w kąt mieszkania, przysypane

szpargalami, ustawione w szeregu za drzwiami pokoju, wepchnięte do garażu i ozdobione girlandami pajęczyn. Kalosze dziecięce i wysokie gumki wędkarzy – pamiętające jeszcze ruch, energię, deszcz i słońce. Po zejściu użytkowników – wydają się kruszeć, rozpadać pod jednym, niedbale rzuconym spojrzeniem. Mizernieją i szarzeją, pokornie zanikają ze swoimi choćby najbardziej krzykliwymi kolorami, stopniowo płowieją i jakby ubywają świata. Napędzane jeszcze wczoraj działaniem – dziś już flaczeją, tracą mięśnie i wolę istnienia. Nóg, które ich nosiły – już dzisiaj nie ma. W proch się obróciły podczas obrzędu kremacji albo gniją jeszcze pod ziemią w rurkach odświętnych garniturów denatów. Nogi, które je zakładały – oglądać możemy tylko co najwyżej na zdjęciach w starych albumach albo – to tak już nowoczesniej, na ekranach smartfonów czy laptopów.

Oto historia nóg już nieistniejących, zapisana w tysiącach plików, mierzona terabajtami pamięci komputerów.

Jeszcze być może czujemy pod palcami włochatą łydkę zmarłego męża, nasze linie papilarne aż błagają o bodaj jedno jego muśnięcie, ale noga dematerializuje się głęboko pod ziemią. Lepiej sobie tego na cmentarzu nie wyobrażać, lepiej nie rozgrzebywać ciekawską łopatą wyobraźni ziemi pod nagrobkiem ukochanej matki czy żony, bo soki, robaki, smród. I ból, ten rekwizyt tak łatwo przypadkiem wykopać, nie trzeba się nawet specjalnie wysilać. Pryska odłamkiem prosto w serce i rozrywa je na kwadryliony krwawiących kawałków. Udając się na cmentarz – lepiej zostawić szalejącą, niespokojną wyobraźnię pod płótem tego miejsca wiecznego odpoczynku naszych bliskich. Po co ma dociekać, po co ma się babrać we wspomnieniach i wilgotnej ziemi? Przywiążmy ją do płotu, niech nie idzie za nami cichutko na palcach, niech się nie skrada za naszymi plecami, nie idzie po naszych śladach. Lepiej żeby warowała pod bramą wejściową i ciekawsko obwąchiwała odwiedzających ziemską krainę zmarłych. Ci, którzy jeszcze nadal żyją, mają na nogach buty pulsujące energią, ruchem, wiarą w nadejście jutra. Buty osób żywych, nawet pozostawione na miesiące i lata samotności, zawsze wyglądają także na żywe. Wytwarzają pewnie specjalną aurę, mają w sobie potencjał przyszłości, drżą z oczekiwania na przygodę ruchu, wędrówki. Choć czasami poźółkłe i znoszone, wciąż czują się młode duchem. Pod dotykiem stopy właściciela ożywają, napełniają się siłą zdolną pokonywać kolejne kilometry tras, uczłowieczają się. Istnieją, bo także ich użytkownicy istnieją.

Buty zmarłych umierają w ślad za nimi. Fatum? Katharsis? Ich własna decyzja? Zapytaj... Nie odpowiedzą (a jeśli nawet komuś wydaje się, że odpowiedziały, to najwyraźniej coś za ostro zabalował i widzi jednocześnie

białe myszki, różowe słonie i garbate aniołki z oskubanymi kikutami skrzydełek).

Chodaki, ciżemki, saboty, trzewiki, drewniaki, trepy – opuszczone na zawsze przez właściciela tracą pierwotny kształt, defasonują się, zniekształcają, deformują. Mało kto chce nosić buty po zmarłym – jakby śmierć zarażała, przenosiła się z człowieka na człowieka drogą kończyny dolnej. Czy można zarazić się nią podeszwowo, obcasowo, szpilekowo? Czy po odkażeniu buty denata są już bezpieczniejsze i nie grożą natychmiastowym, śmiertelnym zejściem? Czy we wnętrzu butów zmarłych mieszkają dusze, które zaplątały się w pętle sznurowadeł, utknęły pomiędzy dwiema warstwami podkładek, zabarykadowały się w schronie zapiętki i przez to nie mogą sięgnąć brzegów drugiego świata? Czy buty – po ostatecznej utracie swojego właściciela – płaczą nocami z tęsknoty za jego kształtem nogi, wysublimowanymi meandrami linii papilarnych dużych paluchów, pożółkłą piętą z zadziarami naskórka, przyciętymi w kwadrat paznokciami i niewielką zmianą grzybiczą pomiędzy czwartym a piątym palcem lewej stopy? A może buty nas nienawidzą – naszych płatfusów i niemytych zapaszków skarpetkowych, naszych nagniotków i odcisków, modzeli i pęcherzy? Może, gdyby były w posiadaniu czerwonego przycisku zagłady ludzkości – z miejsca by go nacisnęły, diabolicznie wrzeszcząc w naszym kierunku: „Game is over!”. I puf! Wielki grzyb atomowy i nie ma na świecie ani ludzika, nawet tego z zestawu klocków Lego. Tak, buty mogą być niezwykle agresywne, wystarczy przypatrzeć się niektórym egzemplarzom. Kłapią wielkimi paszczkami na wszystkie strony przy każdym kroku swego właściciela, jakby chciały nie tylko jego skonsumować, ale nawet dowolnego, przypadkowego przechodnia. Zęby ich gwoździkowe, ale ostre jak u żarłocznego rekina. Nigdy nie należy więc do końca wierzyć jakimkolwiek bucikom, choćby nawet wykonane były z mięciutkiego, różowego futerka. Zresztą, tym wykonanym z mięciutkiego, różowego futerka wręcz szczególnie nie należy wierzyć. Kto normalny tak wygląda? Produkty obuwnicze z różowego futerka prawdopodobnie uciekły z zakładu dla obłąkanych malarzy artystów i pędzą teraz przez świat w szalonym widzie. Uważaj, bo cię zahipnotyzują swoją psychodeliczną różowością, osaczą, a potem całkiem omamią. Będziesz prowadzony na smyczy ich chorych wizji i urojeń, zapętłony podwójnie, potrójnie i poczwórnie w sznurówki szaleństwa niekontrolowanego. Strzeż się szamanów różowości, kapłanów fiksacji, głosicieli butowej teorii dziejów. Ich podeszwy, obcasy, fleki – wszystko przesiąknięte jest amokiem i umysłową abberacją. Jeśli wejdziecie pod ich pantofel – to zbutujecie się doszczętnie, ale nigdy nie zbuntujecie. Będziecie bezwolni. Będziecie ludźmi „bez” – butów i przyszłości.

Z butów umarłych wyparowuje znajomy kształt nogi noszącego je człowieka, zapach jego wydzielin gruczołów potowych, cała energia kinetyczna. Pozostaje tylko skorupa dawnego bytu, martwy przedmiot, o który już, już dopomina się gleba, marząc tylko o tym, by go rozłożyć na atomy, choćby jej to miało zająć tysiące lat. Buty umarłych same umierają cicho, bezszelestnie, gdzieś porzucone, zapomniane. Emitują ku patrzącym bezradne fale smutku, beznadziei. Szybko łapią depresję, na którą nie pomaga intensywne pastowanie, nacieranie zamszu skórką od chleba i szczotkowanie zgodnie z kierunkiem ułożenia włosa. Osierocone buty, nawet podtrzymywane życiodajną z pozoru kroplówką pamięci o właścicielu, szybko ulegają zniechęceniu. W końcu nic już ich tutaj nie trzyma na Ziemi – oprócz grawitacji, rzecz jasna. Śmiertelne zejście zaliczają w osiedlowym śmietniku, w kubie na odpady zmieszane, lesie, przepastnych macicach garaży czy strychów. Wystawiane do publicznego oglądu, jak choćby te za szybami obozu w Auschwitz – w obrządku wiecznego patrzenia, rytuale spoglądania, ceremonii przyglądania się, mszy nieświętej glapiennej – odprawianej przez kapłana Wielką Żrenicę. Przeszywane wzrokiem, wytarte od spojrzeń załzawionych i martwych, pełnych egzaltacji i zimnych. Buciki dziecięce, młodzieżowe i dorosłe. Sprasowane przytłaczającym ogromem rozpacz i przerażenia, zasuszone w cieniutkie jak bibuła listki strachu. Buty, które wchodzą boleśnie między neurony i synapsy mózgu, by utknąć w tych zawitych korytarzach na zawsze. Ryją w nich jak ślepe krety, a za nimi pojawiają się serpenty historycznego bólu. To musi boleć, tak jest dobrze. To dobry ból, dobry piesek. Podaj łapkę, podaj łapkę Panu Bólowi, zamerdaj ogonkiem, martwy pies, grzeczny pies, bierz kota, atakuj, nie liź mnie po twarzy, zaszczekaj na dźwięk swojego imienia, choćby zniknęła fonia i pozostały tylko sztywne konstrukcje liter.

Pod butami płyty chodnikowe, asfalt, trawa, piasek, sacrum i profanum. Buty tylko towarzyszą nam przez krótki czas naszej lichej, kruchej jak maślany herbatnik egzystencji. A potem śmierć rozdziela ludzi i ich ulubione buty. Opatrzność zanurza ów kruchy, ludzki herbatnik (niczym Proust swoją magdalenkę) w herbatce śmierci, a ten się po prostu nagle rozpuszcza i znika. Był – i po iluś tam wyznaczonych mu latach – się zmył. Nie dostaniesz go z powrotem, choćbyś głośno, protestacyjnie tupął swoimi topornymi sabotami rozpacz na Pana Boga. A umarli dostają na ostatnią drogę w urnie czy trumnie sztywne obuwie wizytowe, czasami niewygodne i rzadko używane, wyciągnięte z czeluści pawlaczy oraz zakamarków szaf, choć bywa, że i czasami nowe, niedopasowane. Zamrożone w kostnicy, a potem spalone czy gnijące latami. Czy mogą odejść spokojnie w takich butach

na tamten świat? Czy tam trafia, czy dojdą na miejsce? I czy w zaświatach znajdą jakiegoś porządnego szewca, który będzie ich obsługiwał wiecznie? No, takie drobne prace naprawcze – przybije nowy flek, podklei podeszwę, przybije dyskretnie z dwa gwoźdźki, wymieni wyszczerbiony zamek czy skruszałe glisty sznurówek. Niebo pełne zniszczonych butów nie jawi się przecież zbyt atrakcyjnie...



Martyna Jersz, 17 lat
Godło: „Mira”, Szprotawa
2 miejsce, poezja młodzież

Przypadkowość

Jestem przechodniem który zobaczył
ósmą cud świata w kolejce do sklepu

zbieram truskawki lubię
upaćkać się ziemią
nazywać
kwiaty po imieniu

a potem podglądać
jak robi się burzę
którą próbuję przenieść na papier

zbieram naręcza chwil przeżytych
i nieprzeżytych
czasem zdarzy mi się zerwać
niedojrzały jeszcze owoc
który dopiero potem okazuje się być
dobrem lub złem

czy przez przypadek zostałam wrzucona
w nieprzypadkowy rytm zdarzeń

Poszukiwanie sensu

Po dłuższym czasie
zaczynam podchodzić do tego tak
staram się żyć dobrze
przecież stoję na słońcu dziesięć minut dziennie
szyję
nie spędzam chwil
bezmyślnie

smutek nie sięga mojej duszy
pogrążonej w obowiązkach

przez lata myślałam że
tylko o to chodzi

Rzeczy niepotrzebne

Co roku odkrywam w swoich szufladach
mnóstwo przedmiotów
wartych wyrzucenia
z czasem góra staje się coraz wyższa
rośnie sterta przyzwyczajzeń
skojarzenia kolekcjonuję jak drzazgi
za to obietnice przeznaczam
na spalenie



Milena Puła, 16 lat
Godło: „Herezja”, Nasutów
3 miejsce ex aequo, poezja młodzież

Niebo

Niebo jest puste
Martwe
Głuche przez ciszę

Roznosi się w nim echo
Bez głosu

Wszystkie anioły umarły
Tu
Tutaj przed nami
Za rogiem
Pod progiem
Za koszem
Pod mostem

Wszystkie anioły umarły
Tu
Tutaj na Ziemi
Skażone żądzami
Skuszone dobrami
Splamione grzechami
Spaczone emocjami

Wszystkie anioły umarły
Wszystkie anioły są ludzkie

Niebo jest puste

Studium przysłowia

Cisza

Jak makiem zasiał
Bez drgnienia
Ni jednej drobiny

Zastygło

Wszystko bez rytmu
Z gwałtownością
Niepodobną dla ciszy

Jednak

Kto mak zasiał
I dlaczego
Kwiat nie krzyczy

Milczy

Bez grama sprzeciwu
Rośnie spokojnie
Pozbawiony swego głosu

Kwiat

Jestem jak kwiat jednodniowy
Kwitnący przez kilka godzin
Ledwo wyrośnięty

Który pyszni się
I
Po zaledwie chwilach
Więdnie

Umarły

By zetrzeć na proch
Płatki które nigdy
Nie były Piękne

Uczucie

Czy można nienawidzić
Kogoś bardziej od siebie?

Znając wszystkie
Grzeszki przewinienia
Kłamstwa i niedopatrzenia
Myśli i przewinienia
Bardziej zawiedzionym
Niż sobą

Julia

Serca złączone

Do siebie

Przez wieki

Do siebie

Przebite

Sztyletem

Nie wiem czy Kocham

Nadal

Nasze serca

Przybite

Do siebie

Przez wieki

Sztyletem skrwawionym



Grzegorz Sobkiewicz, 13 lat

Godło: „Grechut”, Agatówka

3 miejsce ex aequo, poezja młodzież

List do Mamy...

chciałbym abyś mnie schowała

ukryła w swych marzeniach

głęboko gdzie nie dosięgną mnie

łzy i cierpienie

schowaj mnie na dnie

w ciepłym sercu swojej dobroci

i trzymaj mnie mocno

w samym środku życia...

ukryj w swych snach

niech nie odnajdą mnie

ostrza nienawiści i bólu
złodzieje radości
zimne ręce samotności
utul mnie
w swych ramionach
uwolnij
od gwaru codzienności
i szarości obowiązków
uśpij ciepłem swego oddechu
i zatrzymaj tylko dla Siebie!

Dorosłość

za drzwiami czai się dorosłość
zagląda ciekawska przez szpary
codzienności
krzywym i chudym palcem wskazuje
w moją stronę
a ja
zatrząskuję ciasno oczy
choć boję się ciemności
bo ona nie puka i wcale nie dzwoni
po prostu przychodzi
więc uciekam
skaczę jak polny konik
przeganiam szare chmury
a na niebie maluję tęczowy łuk
śpiewam radośnie z pszczołami
zahaczam o wszystkie kałuże
liczę biedronkom maleńkie kropki
fruwam nad łąką z motylami
i chyba jeszcze dziś nie chcę
być dorosłym...

Moja Babunia

moja babcia nie wiedziała
kiedy odchodziła
że to już sierpień ścina
ostatnie zboża w polu

coraz więcej zapominała
myliły jej się dni i uciekały marzenia
mówiła że często bawi się w ogrodzie
i lubi święty spokój
gdy piecze chleb
nawet wtedy jej ręce pachniały
drzewem różanym i konfiturą wiśniową
co rano rozmawiała z Bogiem
szepciem pytała o krzyż i cierpienie
w południe nuciła pieśni dla Maryi
łagodnie ubierała je w prostą wiarę
a wieczorem modlitewnie dziękowała
za piękny, dobry dzień
wśród drewnianych paciorków
jej słowa ginęły jak maleńkie okruchy
gdy nie patrzyłem
powoli pakowała swoje wspomnienia
do małych słoików
i wręczała je tym
którzy mieli na nie ochotę
a jeśli prosiła to tylko
o chwilę rozmowy
nie bała się kresu
tylko tego
że gdy ją zawołam „babciu”
zapomni odwrócić głowę...



Karolina Majorowska, 15 lat ***Godło: „MajorKa”, Warszawa*** ***Wyróżnienie, poezja młodzież***

Wiem, że nic nie wiem

Z cyklu: Szkoła baranów – lekcja filozofii

Motto:

*„Wszystko, co wiem to, że nic nie wiem,
inni natomiast sądzą, że wiedzą to, czego nie wiedzą”.*

Sokrates

***– Dzisiaj, moje drogie barany,
o Sokratesie sobie pogadamy.***

Mówi to belfer, lekko zgarbiony
widać, że już życiem zmęczony.

Ale gdy mówi o Sokratesie,
jego głos po sali się niesie.
A każdy baran siedzi skupiony
i w oczy belfra głęboko wpatrzony.

***– Sokrates był powszechnie znany,
lecz przez Greków niezbyt lubiany.
Mówił im o prawdzie i moralności,
co doprowadzało wielu do złości.***

***Niech każdy z was uwierzy,
Sokrates nie był zły dla młodzieży.
Prowadził z młodymi długie rozmowy,
aż ich od tego bolały głowy.***

Grecy mówili: – *Nam to nie pasuje,
ten filozof, młodzież nam psuje!*
*Musimy razem szybko się postarać
i tego człowieka jakoś ukarać!*

– I tak to moje drogie barany,
Sokrates został na śmierć skazany.

A na śmiertelną swoją pokutę,
wybrał Sokrates – truciznę cykutę.

– *To się we łbie nie mieści,
kiedy słyszę takie opowieści!*
Krzyczy **Mikrus** głęboko poruszony,
jak Sokrates został stracony.

– *Za to, że uczył prawdy i sprawiedliwości,
to mu inni też porachowali kości.*
Oburzył się **Bolo** i dalej kontynuuje:
– *Ta ludność grecka coś mi nie pasuje!*

*U nas baranów, tak by się nie stało,
takiego Sokratesa, by się podziwiano.*
*Mógłby w zagrodzie z każdym dyskutować,
a nawet i z większą grupą debatować.*

Belfer tego słucha i się raduje,
że każdy baran temat komentuje.
Tylko **Nygus** siedzi i się nie odzywa,
więc go stary do odpowiedzi wzywa.

– **A co ty Nygus sądzisz o Sokratesie,
bo widzę, że coś piszesz w notesie.**
– *O Sokratesie powiem: – „Tyle wiem,
że nic nie wiem”!*

Naszego belfra nagle zatkało,
że **Nygusowi** coś się udało.
Przytoczył cytat powszechnie znany,
co Sokratesowi jest przypisywany.

– **A skąd znasz ten cytat, mój mały?!**
I stary belfer wytrzeszcza gały.
Nie może uwierzyć co **Nygus** powiedział,
skąd ten baran coś takiego wiedział.

– *Nic odkrywczego tu nie powiedziałem
i nigdy wcześniej tego nie słyszałem.*

*Prawdę stwierdziłem, bo tak to czuję,
gdyż w mojej głowie pustka panuje.*

I tak niestety czasem się dzieje,
że nawet człowiek lekko głupieje.
Bo kiedy baran pokombinuje,
to Sokratesa też zacytuje.

Głupota nieskończona

Z cyklu: Szkoła baranów – lekcja astronomii

Motto:

*„Tylko dwie rzeczy są nieskończone:
wszechświat oraz ludzka głupota,
choć nie jestem pewien co do tej pierwszej”.*

Albert Einstein

– Czy wiecie o tym drogie barany,
że świat jest mądrze poukładany.
**Czytałem Einsteina różne wywody,
gdzie on przedstawia liczne dowody.**

***Na to, że wszechświat jest nieskończony,
tak jakby istniał niedokończony.
Ciągle gdzieś pędzi i się rozwija,
wciąż się poszerza i nie przemija.***

Tłumaczy to belfer, baran leciwy,
jest bardzo mądry i kompletnie siwy.
Młode barany w ciszy słuchają,
a już po chwili pytania zadają:

**– Czy wszechświat jest w ciąglej nędzy,
że on szuka większych pieniędzy ?**
Pytanie zadał baran kosmaty,
który ma forszę od swego taty.

**– A może wszechświat tak się rozszerza,
bo na zakupy gdzieś sobie zmierza ?!**
Pada następne głupie pytanie,
nie powiem ni słowa, o tym baranie.

**– A gdy nastąpi koniec we wszechświecie,
to skończą się promocje w supermarkecie ?**

Takie pytanie młodzian zadaje
i na tym wcale nie poprzestaje.

**– A gdy nastąpi zastój we wszechświecie,
czy dowiemy się o tym też w internecie ?**

Kolejne dziwaczne pytanie już pada,
a stary belfer tak odpowiada:

**– Dobrze, gdy ten temat was dość frapuje,
to znaczy, że chyba coś was interesuje.
Tylko te wasze niezbyt mądre pytania,
nie prowadzą do żadnego rozwiązania.**

**Powiem wam krótko w kwestii wszechświata,
bo o tym już mówił dawniej mój tata.**

Barany i wszechświat łączy słowna prostota,

A krótko ujmując, jest to – głupota!

Dwie rzeczy na świecie są nieskończone,
i każda z nich zmierza w tę samą stronę.
Bo wszechświat, wiadomo, że się rozszerza,
a barania głupota za nim wciąż zmierza!

Polityka nas nie interesuje

Z cyklu: Szkoła baranów – Lekcja WOS (Wiedzy o społeczeństwie)

Motto:

*„To, że nie interesujesz się polityką,
nie oznacza, że polityka nie zainteresuje się tobą”.*

Perykles

W klasie baranów panuje nuda,
nawet to widzi „Stary Maruda”.
Belfer, co uczy WOS-u barany,
dość już leciwy, ale zadbany.

**– Powiem wam dzisiaj uczniowie moi,
że świat obecnie na głowie stoi.**

***I wszystko jakoś się pokręciło,
przez co zrobiło się niezbyt miło.***

***Kiedyś to było prosto na świecie,
różne nowiny pisali w gazecie.
I polityka też inna była,
ale niestety też się skiepszyła.***

***Dziś trzeba wiedzieć i dużo umieć,
żeby to wszystko dobrze zrozumieć.
Dlatego uczę was moje barany,
jak ten świat jest poukładany.***

***Kto rządzi światem i nim kieruje,
to znaczy, że on nad nim panuje.
I niech wam w głowach zawsze coś „tyka”,
gdyż w życiu ważna jest polityka!***

***– A w mojej głowie nic tam nie „tyka”,
a zwłaszcza jakaś tam polityka!
Kosmaty łeb, jeden uczeń podnosi
i dalej swoje mądrości głosi:***

***– Ta polityka nas nie obchodzi,
bo my jesteśmy jeszcze za młodzi.
Wolimy tańczyć, śpiewać, „lajkować”,
a nie polityką się jakąś zajmować.***

***O polityce, nie ma tu mowy,
bo nikt z nas nie ma do tego głowy.
By myśleć o tym, gdzie, kto panuje,
a kto z kim, jak co kombinuje.***

***Po co czymś takim głowę zaprzętać,
wszak lepiej w „necie” filmy oglądać.
Tam coś się dzieje i jest wesoło,
a w polityce, to samo – wkoło!***

***– Bzdury tu mówisz baranie mały,
twoje mózgowo zwoje się poplątały.***

***Wkrótce zrozumiesz czym jest polityka,
a wtedy w twojej głowie, na pewno „zatyka”.***

***Zapamiętajcie teraz, co powiem barany,
świat wcale nie jest różami usłany.
Bo jak polityką się nie interesujecie,
to i tak jej skutki, też odczujecie!***



Anastazja Klufczyńska, 17 lat Godło: „Eliza”, Bydgoszcz I miejsce, proza młodzież

DO ELIZY

Siedzimy razem, jak co wieczór, z pozoru zagłębione w lekturach, obydwie dryfujące jednak niemrawo po grzbietach naszych myśli. „Skup się na książce” obydwie przypominamy sobie co jakiś czas, niezdarnie starając się wydobyć esencję uczuć ze słów, które mają je w nas wzbudzać – ileż ich autor musiał namęczyć się, by stworzyć jednocześnie logiczny i piękny ciąg wyrazów, mających rozbudzić w nas najgłębiej skrywane uczucia – wrażliwość, niepokój, litość, ckliwość czy trwogę. Moje palce zaciskają się na zielonej skórce, będącej ciężką oprawą, schronieniem dla starych, pożółkłych, prześwitujących wręcz między palcami kartek. Czytając słowa, czuję jakbym je łowiła – przytrzymywała, jak niesforną, szarpiącą się rybę, by wylapać ich całkowity sens, przetrawić, okiełznać je, tak by nie wyrwały się z naszej świadomości, by następnie potulnie zwrócić je strumieniowi, niech płyną wśród swoich; niech „a” swym ogonkiem muśnie stojące obok „b”.

„Skup się” – mówią twoje jasne oczy przyglądające mi się z przyganą, a ogień w kominku zdaje się im aprobować, posyłając w moim kierunku gardzące trzaski.

Pokornie pochylam głowę i czytam (nie mogę powstrzymać się od przesuwania palcami o powoli rozgrzewającą się dzięki mojej dłoni okładkę). Czytam:

„Samotność – może się wydawać, że w dzisiejszych czasach nie ma już racji bytu, że jej era dobiegła końca, nie ma na nią miejsca w krzyku i wrzawie miast – we wszechobecnym tłoku, chaosie, gdzie chęć posłyszenia czyjegoś zdania równa się chęci wygłoszenia własnej opinii, w nadziei, że ta zostanie dostrzeżona i zyska rangę wiekopomnej sentencji powtarzanej później przez dekady. Czy jest miejsce na samotność w świecie, kiedy deszcz musi walczyć, by precyzyjnie się między ciałami i opaść na bruk. Czy samotność, nawet jako skromny powiew ma szansę przelecieć pomiędzy ciasno ustawionymi, jak w zwartym szeregu blokami, przeniknąć przez korowód aut, ciał stłoczonych jak w ulu, gdzie światło latarni rozpraszające mrok nie wie na kim się skupić. Czy jest na nią miejsce w domach, w których funkcję rodziny niekiedy sprawują zwierzęta – gdzie my ludzie, musimy zastępować się, tak mamy się dość. Oddalamy się od własnego gatunku, znajdując ciepło i ukojenie w innym – czy to nie wieczna symbioza, zależność świata, gdzie kręgi rodzajów splatają się ze sobą? Jednak działa to w jedną stronę – tylko my, ludzie rościmy sobie prawa do tworzenia idealnej rodziny – jakby wyglądało, gdyby samotny kot postanowił adoptować ludzkie dziecko – lub lepiej, odbierałby je wraz z rodowodem z rasowej hodowli, gdzie nadawałby mu imię i traktował jak własne potomstwo? Ludzie skazują na samotność siebie i innych – to egoizm świata. Codziennie kroczyliśmy po teatralnych deskach, nurzamy się w korowodzie, paradach uśmiechów, zgryzot, czyniąc się tak sztucznymi, że nawet cienie zyskują miano bardziej cielesnych od nas, a my blakniemy w fałszu.”

„Cienie zyskują miano bardziej cielesnych od nas” – powtarzam to zdanie pod nosem, a ty podnosisz głowę, zastanawiając się co czytam. Sentencja niebywale mi się podoba, jest w niej coś, jeszcze nie wiem co, co każe mi ją powtarzać – być może wtedy się ziści? Być może to mój cień, nie ja, złoży dziś lub jutro delikatny pocałunek w twoich włosach.

„- Nie myśl tyle – słyszę głos, dobiega mnie wraz z cichym pomrukiem. – Znowu masz tę swoją zmarszczkę. – Głos zdaje mi się przyjemny na równi z klaksonem tira. Mam wrażenie, że irytacja znajduje ujście w moich włosach, które elektryzując się, tworzą miękkie gniazdo.

Gorące, pulsujące fale zalewają mnie, jakby ktoś wlał mi do ucha kipiące mleko, powoli rozchodzące się po całym ciele. Wbrew głosowi marszczę się jeszcze bardziej i by zapanować nad sobą, zanurzam dłoń w długim futrze leżącego obok kocura. Zatapiam się w nim (futrze), marząc o zniknięciu – ach, gdyby tak stać się pchłą! Zniknąć w gąszczu przez nikogo niezauważona. Rozciągam usta w uśmiechu, lwia zmarszczka na czole znika.

– Chodź do łóżka – słyszę z sąsiedniego pokoju, zaraz potem dobiega mnie odgłos krótkiego klepięcia w miękki (za miękki! Tyle razy mówiłam, by go wymienić!) materac. Nie wstaję. Nie ruszam się, jestem tylko ja – wesz i moja dłoń w futrze.

A jednak, muszę się podnieść. Nie jestem waleczną Amazonką mogącą wojować ze światem, gromić mężczyzn, tak jak zrobiłaby to Otrera, czy jej córki. – Nie bądź idiotką – słyszę w głowie. – Właśnie, nie bądź idiotką. Ostatni raz zaciskam palce na skłębionej już sierści, czym narażam się na gniewne spojrzenie złotych, oburzonych oczu kociska, drążących we mnie dziury. Podnoszę się, i sunąc ręką – teraz po chłodnej ścianie – docieram do skąpanej w bordowym świetle (to zasługa tego okropnego, ciemnego klosza!) sypialni.”

To doprawdy idiotka – myślę i parskam głośno, czym płoszę naszą kotkę, siedzącą dotąd spokojnie, z rudym łepkiem wtulonym w miękki welur podłokietnika. – Jak można żyć z kimś takim, kto brzydzi cię i drażni, kim gardzisz! Jak chcesz żyć, niemądra kobieto w związku nieopartym na szacunku, pozbawionym uczucia!? Czy nie widzisz, jak się marnujesz, jakie perspektywy tracisz?! – w moim umyśle rodzi się irracjonalna złość na fikcyjną kobietę.

A ty kręcisz głową nad moim zachowaniem, udajesz irytację, jednak wiem, że moje nieokrzesanie cię bawi. Kontrast pomiędzy naszymi charakterami zawsze cię rozbraja. Twoje życie to waga, lecz mimo całej swojej stateczności lubisz mnie – pchłę właśnie – skaczącą po twoich szalach, delikatnie naruszającą harmonijny porządek, który prowadzi do rutyny, która przecież tak cię przygnębia. Nie myśl, że zapomniałam o twojej chandrze. Nie mogę patrzeć, jak zimna i wyzbyta emocji wpatrujesz się czasem to w okno, jakby coś za nim miało dać ci sygnał do działania, to w kartkę – zła, że twoje zdania są za ciężkie, by „pofrunąć”, by dotknąć adresata. Narzekasz na przysadzistość zwrotów w twoich wierszach, mimo mojego podziwu, co do ich przemyślenia i złożoności. Żądasz od siebie więcej, niż możesz dać – taką cię poznałam – samotną, skrytą, ponurą.

„- Jesteś wreszcie – głos mojego męża obrzydza mnie, dlatego odwracam się, pozwalając szlafrokowi ześlizgnąć się po skórze, po czym, (nadal tyłem) siadam na łóżku (stanowczo za miękkim) i by uspokoić samą siebie, gładzę okazały już, porównywalny do melona brzuch – tak staram się przepędzić samotność, wyprzeć ją wraz z oddechem.

Zatem samotność jest obecna, wślizgnie się w najciemniejsze zakamarki, istnieje nawet tam, gdzie słowo „przepych” codziennie opisuje coś innego, gdzie splendor dostrzegamy wszędzie. Gdzie ludzie modlą się razem, jedzą razem, śpią razem, gdzie łóżka kochanków są nieustannie ciepłe, gdzie zmięta pościel nie

zdąży zaczerpnąć oddechu, gdy znów wplątują się w nią kolejne gorące ciała. Gdzie filozofowie zbijają się w grupy, by w atmosferze geniuszu dyskutować, gdzie doktorzy nauczają, inteligenci tworzą stowarzyszenia, podobnie jak bogacze. Pomimo tego wszystkiego nie mogę nie myśleć o swoim życiu inaczej niż o ciemnej alei, gdzie nieustannie rozwija się srebrna przędza czasu.”

Trudno nie zgodzić się z tą pesymistyczną teorią. Sama nie myślę o życiu, dopóki nie stanę przy przejściu na ulicy, dopóki nie poczuję brudnego podmuchu od pędzących samochodów – jeden krok (tylko jeden!) i mogłoby mnie nie być – tak szybko – byłabym samotna na wieki. Stałabym się świetlistą formacją w kosmosie, brudną plamą na jezdni. Czy to nie niesamowite? Wiem jednak, że miałabyś mi to za złe, dlatego zawsze czekam na zielone światło. Wiem, że ty o życiu myślisz częściej. Widzisz je w najdrobniejszym przedmiocie, w tym pałającym ogniu, który odwodzi cię od smagnięciami ciepłych podmuchów, życie widzisz w karafce, która rano wita cię, odbijając pierwsze słoneczne promienie. Życie widzisz w kurzu, wodzie, to co ja ścieram i czym niedbale ochlapuje spoconą twarz, ciebie zachwyca. Niebawem, jak różnie możemy postrzegać świat, jak różni się od siebie nasza percepcja, a jednak my razem – ty – dostojna, milcząca, dumna, ja – dziecinna, humorzysta – żyjemy razem, jedna obok drugiej.

Nawet tu, łapiąc tę chwilę, spoglądam na twój oświetlony policzek i przewiduję, że odwrócisz się do mnie, zamrugasz i spytasz o co chodzi z uśmiechem ukrytym w kącikach wiśniowych ust.

Zamykam książkę, czym wzbudzam tuman wirującego pyłu, patrzysz, jak powoli unosi się, jak dym ze starej fajki, luźno zwisającej, równolegle z brodą starego bosmana – twojego dziadka, jedyne krewne, którego zdjęcie trzymamy w domu. Podpieram się i wstaję, kładąc książkę na przeszklonej tafli stolika. A ty, Elizo, spoglądasz na mnie spod rzęs, próbując odgadnąć co chcę zrobić. Śmiało staję przed tobą, tak jak niesforny, butny uczeń zasługujący na nagane staję przed nauczycielem w klasie i czekam – chwila czekania to jednak za długo dla mnie, choleryka, dlatego pochylam się, by musnąć twoje usta, dosłownie o nie zahaczyć, by zatrząść twoją szalą równowagi.

– Będę szła spać, Elizo – mówię, zmuszając cię w końcu, byś podniosła na mnie wzrok i odwzajemnia silne spojrzenie.

– Idź, zaraz dołączę – odpowiadasz.

Wiem, że tak nie będzie, dlatego siedzimy w salonie jeszcze kwadrans, a potem kolejny, wsłuchując się w ostatnie, pożegnalne trzaśnięcia płomieni trawiących kłodę i dopiero wtedy, gdy wszystko ucichnie, razem zmierzamy do sypialni, sunąc przez nasz spowity mrokiem korytarz.

Oliwia Dorota, 14 lat

Godło: „Fia”, Drohiczany

II miejsce, proza młodzież

BIAŁY KAMYK

Baśnie, czy inne opowiadki snute dzieciom do poduszki, by nocami nie dokuczały im zmory lub inne strachy kulące się w każdym zacienionym zakamarku, przeważnie zaczynały się od tej samej garstki słów – *Dawno temu, za górami, za lasami...* – by później zakończyć piękną i niosącą do głów dobre, przyjazne sny frazą – *I żyli długo i szczęśliwie...*

Ta historyjka nie jest jednak opowiadana małym urwisom na dobranoc, znajduje swoje miejsce bardziej w lekko obskurnych gospodach. Kiedy to pewnemu gawędziarzowi, odurzonemu już alkoholem podawanym przez atrakcyjną kelnerkę, rozplącze się język. I wtedy, słowami nieco zniekształconymi siłą wypitego już trunku, stary gawędziarz będzie tworzył niesamowicie barwne i jaskrawe obrazy w umysłach słuchających. Choć mężczyzna opowiadał tą historyjkę zapuszczonym i pijanym chłopom, siedzącym nad ranem w gospodzie z dłońmi wiernie spoczywającymi na swoich kuflach, oraz paru kobietom lawirującymi między wolnymi stolikami, wykonującymi jedynie swoją nużącą pracę, rozpoczął ją tak, jakby to była zwyczajna bajeczka, kierowana do jego małych córeczek.

– *Dawno temu, za trzema ogromnymi górami, siedmioma rzekami i zaraz obok rozciągającego się po całym horyzoncie lesie, było pewne królestwo...*

Tymże królestwem, rządził niegdyś ktoś niesamowicie pragnący rozlewu krwi i triumfu zwycięstw. Latami szkolił swych wojowników, by ci nigdy go nie zawiedli i godnie spełniali swoje wszystkie obowiązki wobec niego. Król rósł w siłę, podbijając i bogacąc się bezkarnie na słabszych królestwach. Nie uznawał na nikim litości, nakazywał podpalać niewinnych osad, skazując wielu ludzi na łaskę zdradzieckiego losu, patrzył na kobiety, szaleńczo szlochające nad struchlałymi ciałami swych mężów, by potem z niewyobrażalną łaską zabrać je na swój dwór, aby wykonywały prace ponad swoje siły, za marny bochenek chleba i dwa kubki wody. Pławił się w krzyku przerażonych dzieci, które zdezorientowane, nie zdążyły sobie jeszcze uświadomić, że przez jego poczynania zostały na tym świecie same, bez kochanej matuli czy ojczulka trzymającego ich za rękę, gdy strach zaczyna chwytać za ramiona. W tym okropnym chaosie znajdował

swój spokój. Świat, który zaczął sobie kreować, pogrążony w cieniach, ociekający krwią i ludzką rozpaczą, z dnia na dzień pochłaniał go jeszcze bardziej, sprawiając, że pragnął jeszcze więcej. Dlatego sięgał po jeszcze drastyczniejsze środki, stąpał po coraz bardziej kruchym lodzie i z dnia na dzień, tracił ostatnie cząstki człowieczeństwa. Jednakże po pewnym czasie, ponownie zaczął odczuwać niedosyt i obawy. Zdał sobie sprawę, że przeszkodami i największymi wrogami, wcale nie są obce królestwa, lecz nieubłagane biegnący czas, którego nie jest w stanie przewyciężyć. Czas jest początkowo drobną iskierką, która rozpala wielki stos wydarzeń, często irracjonalnie zawitych, destrukcyjnych i niebezpiecznych, innym razem za to harmonijnych i sielankowych, jednak później czas sprawia, że ten niedawno zapoczątkowany ogień – ten spokojnie tłący się, jak i ten buchający swoimi długimi, gorącymi językami na wszystkie strony świata – wygasa, a wszelkie jego ślady, w końcu znikają. Król uświadomił sobie, że tak samo wygasnąć i zniknąć może on wraz z całą swoją armią, królestwem i bogactwem. Niewiele potrzeba, by wszystko co obecnie posiada i uważa za największe dobrodziejstwo, zmieniło się w lichy, nic już nie znaczący popiół.

Jednego wieczoru, gdy pozostał w ciemnych murach swojego zamku, tonął w jedwabistej pościeli, u boku pięknej, jak nocne niebo kobiety, której wdzięków jednak nigdy tak naprawdę nie docenił, ani której nigdy nie pokochał, choć ukochiwali ją wszyscy inni. W małym pokoiku za ścianą ich sypialni, jedna ze służek czuwała przy śpiącym w drewnianej kołysce dziecięciu, pulchnym chłopcu z zaróżowionymi policzkami, który kiedyś miał wyrosnąć na mądrego i niezłomnego władcę. Król jednak spoglądając na jego spokojną twarzyczkę, nie był w stanie dostrzec w niej swojego własnego odbicia. Czuł przez to niewyobrażalne rozczarowanie, bo w głębi swej duszy odczuwał, że tylko on jest godnym swego najwyższego stanowiska, władcą.

Kiedy zegary w całym zamku wybiły pierwszą w nocy, monarcha wstał ze swojego łóża, opuszczając swoją piękną małżonkę, nie obdarzając jej jednak nawet najkrótszym spojrzeniem. Wyjął z małej sakieweczki, którą zawsze nosił przy sobie, drobny kamień, biały jak nieskazitelny śnieg i oszlifowany tak by z każdej strony był sobie równy. Minął drzwi do komnaty swojego potomka bez najmniejszego zawahania, nie wadząc już na nic. Wspiął się na najwyższą wieżę zamku, wyciągnął obłuzowaną deskę z sufitu i zanim wstawił ją tam na powrót, ukrył tam śnieżnobiały kamień. Później nakazał jedynie pobudzić wszystkich jego rycerzy i osiodłać konie na całą armię, a gdy już wszystko było gotowe wedle jego rozkazów, wyjechał na przedzie swojego wojska, prowadząc ich bez najmniejszego słowa wyjaśnień. Jedynie wstający o świcie chłopci zdołali ich ujrzeć, daleko na horyzoncie,

rozmywających się jak ciemne smugi. Tak zniknęła głowa państwa kochająca się w wojnie, wraz ze swoimi oddanymi rycerzami, którzy byli w stanie za nim pójść nawet w niewiadome.

Jednakże królestwo pozostawione bez władcy, stało się niesłuchanie kruche, a bez armii lada chwila mogło legnąć w gruzy. Bramy królestwa zamknęły się na wszystkie spusty, pozostając w takim stanie na parę lat, zanim Księżna nie wyszła ponownie za mąż. Uprawy powoli odrastały, ludzie przestawali się obawiać bitew i wprowadzali w swoje życie własny rytm, coraz częściej przywołując na twarze uśmiechy. Królowa chętnie wychodziła do ludu, rozmawiając z nimi jak z równym sobie i starając się zapewnić wszystkim czego tylko było potrzeba. Jeszcze niedawno, królestwo wyglądające na cieniste i puste, teraz obfitowało w kolorowe dzieła sztuki rozsiane po wszelkich nowych fontannach czy kościołach. Z łupów dawnego króla, spoczywających cały czas w skarbcu, budowano szkoły, nowe zakłady rzemieślnicze i tworzone wszelkiego rodzaju dzieła sztuki, piękniejsze niż gdziekolwiek indziej.

W końcu przyszedł czas, gdy małe dziecię wreszcie dorosło, mogąc objąć tron. Młody królewicz, zarażony przez matkę miłością do sztuk pięknych, chciał by każdy mógł zobaczyć cuda jakie są nieustannie skrywane za wysokimi murami i ciężką, prawie zawsze szczelnie zamkniętą, bramą. Przez minione lata, wszelkie stare ślady po ciosach pozostawionych przez barbarzyńskie wojny, wydawały się zacierać. Niektórzy ludzie chcieli wyprzec ten okres ze swej pamięci, inni zaś nad wyraz go rozpamiętywali, doszukując się okazji na zemstę. Choć byłoby na to wiele chętnych, nikt ostatecznie nie podjąłby się ataku na owe królestwo, każdy zdawał sobie sprawę, że lata temu wszystko też wydawało się aż nad wyraz niepozorne. A więc każdy prędzej, czy to później stwierdzał, że nie warto niszczyć ten prawie idylliczny świat, w którym choć na moment nie mają na głowie setek trosk.

Bramy, dotąd zamkniętego w sobie królestwa, nareszcie otworzyły się na oścież, będąc w stanie przyjąć każdą zbłąkaną duszyczkę. Jednak ku zdziwieniu, dopiero co korowanego władcy, początkowo nikt nowy nie zawitał do królestwa. Może przez zakorzeniony w ludziach strach, ciągnący się za człowiekiem, jak zbyt długa peleryna, ciężąca tylko na ramionach, nieustannie szepcząc do ucha niedorzeczne obawy czy lęki.

Wiosna mijają jedna za drugą, aż do królestwa przez przypadek zawędrował jeden grajek, ciekawy całego świata artysta, któremu przyziemne troski i wypominki nie zaprzętają umysłu. Młody człowiek myślał, że może uda mu się dorobić parę miedziaków, grając na ulicy i zabawiając tym

mieszczan, a gdy szczęście dopisze uda mu się spędzić noc pod stabilnym dachem, choć nigdy nie narzekał na ciemny, podniebny baldachim z jasno migoczącymi gwiazdami. Gdy tylko przekroczył bramy królestwa, od razu otoczyły go zapachy ciepłych ciast i świeżo wypiekanego chleba, do jego uszu dotarła muzyka roznosząca się po kamiennych ulicach a oczy nie mogły przestać napawać się wszystkim co dostrzegały. Młody muzykant w mgnieniu oka zapragnął doświadczyć tego wszystkiego, najmocniej jak tylko było to możliwe. Ludzie nie wytykali go tutaj palcami, nie kpili sobie z jego powycieranych ubrań czy lichy wyglądającego instrumentu. Dorośli chętnie częstowali go jedzeniem i poili winem, aż ten nabawił się długotrwałej czkawki. Z dumą pokazywali mu największe skarby i dzieła, opowiadając jak powstało i co symbolizuje dane malowidło na ścianie czy złota rzeźba. Ciekawskie dzieci zaczepiały go za rąbek koszuli i zadawały miliony pytań, na które zawsze dostawały odpowiedzi. Gdy grajek zobaczył ogromny rynek, pełen straganów i wozów z wszelkiego rodzaju towarem, nie potrafił oderwać oczu ani zatrzymać swoich rwących się do każdego stoiska, nóg. Szklane figurki wykonywane przez jednego mężczyznę, wyglądającego na tak silnego i mającego tak ogromne dłonie, że nie sposób było pomyśleć, że to właśnie jego ręce robią te niezwykle subtelne i arcydelikatne cuda. Wszystko co brał do rąk, traktował jak najdrogocenniejszy skarb, który lada chwila może rozpląnąć się w powietrzu, tak jakby wszystko było jedynie snem. Dwie kobiety sprzedawały ręcznie robioną biżuterie, która migotała w blasku słońca. Mięsiwo było pulchne i soczyste, zaś owoce i warzywa dojrzałe i nie kryjące w sobie żadnych skaz. Słodkimi jabłkami, muzykant zajadał się godzinami, nie mając wcale dość ich smaku. Zapadła noc, za nią nastał ranek i podróżny grajek opuścił granice królestwa, układając w głowie i spisując niezdarnie na poślódkach kartki ballady o wszystkich świetnościach jakich doświadczył minionego dnia. Później, w każdej gospodzie, gdzie się tylko zatrzymywał, na każdej ulicy i wszystkim napotkanym ludziom, śpiewał o ludziach o duszach jak anioły, wspominał o malunkach na ścianach i naczyniach, które wydają się wręcz falować, jak źródlane wody strumyka, przy którym kobiety sporządzają pranie. Opisywał rozpluwające się w ustach jado, przy którym można się poczuć jak na królewskiej uczcie, oraz wino, smakujące tak jakby pochodziło prosto ze stołu elfów.

Choć pieśni wyśpiewywane przez ulicznego szarpidruta równie dobrze mogły być bujdami wyssanymi z palca, zwykłymi mrzonkami za którymi nieustannie latają chodzący z głowami w chmurach, niezdrowo oderwani od rzeczywistości wariaci, którym ten świat już nie wystarcza. Jednak

w sercu każdego do kogo tylko dotarły te pieśni, zaiskrzyły się w sercach iskierki, skrywające w sobie ciche nadzieje, że to miejsce rzeczywiście jest takie jak mówią. Mimo pozorów, każdy kto miał ochotę na własnej skórze doświadczyć wszelakich świetności tego królestwa, modlił się w duchu, by nie okazało się to tylko zwidami grajka, być może zwiedzonego alkoholem. Ale nikt nie był zawiedziony. Królestwo zdobywało coraz to lepszą sławę, a każdy kto był tam raz, pragnął kiedyś powrócić jeszcze w to miejsce.

Czas gnał dalej, nie oglądając się nigdy za siebie na to co już przeminęło, tym razem jednak skończyły się samotne rządy króla. Władca, pojął sobie piękną i szlachetnie urodzoną kobietę za żonę, która już wkrótce spodziewała się dziecka. Piękna dziewczynka, nowa księżniczka o oczach jasnych i lśniących jak błędne ogniki, za to z włosami ciemnymi jak heban. Księżniczka od najmłodszych uczona była na elegancką, lecz zarazem delikatną damę, którą stanie się, gdy tylko podrośnie. Królestwo miało już swój wręcz idealny niczym niezachwiany rytm, żniwa rok w rok przynosiły dobre plony, bydło nie łapało zaraz, zaś ludzie nie płacili zbyt wysokich podatków. Głowa państwa nie miała więc zbyt wielu zmartwień i niesnasek związanych z ciężarem noszonej korony. Król zaczął nosić już siwiznę na swej głowie, kiedy to narodził mu się syn, prawowity przyszły spadkobierca tronu.

Wiosny mijają jedna za drugą, dzieci rosną w mgnieniu oka, powoli przestając być już tylko dziećmi. Księżniczka mogła niedługo przyjmować zalotników, a chętnych do tego nie brakło. Każdy dał się oczarować jej błękitnym oczom, oprawionym ciemnymi rzęsami, malinowe usta nieustannie rozciągały swoje kąciki w uśmiechu a policzki zabarwione czerwonym rumieńcem nadawały jej bladej jak księżyc skórze odrobinę więcej witalności. Książę niedawno zaczął czytać z ojcem co wieczór tomy ciężkich oprawionych w skórę ksiąg, zalegających na półkach skromnej biblioteczki.

Rok w rok, gdy tylko zapalały się czereśnie, a dzień stawał się dłuższy, do królestwa zjeżdżali się ludzie wszelkiej maści i wyznania. Nawet jakby przybywali tutaj każdego roku i byli już w każdym możliwym zakamarku, nadal byliby zachwyceni tym jak wszystko wydaje się tutaj łatwe i niesamowicie piękne. Huczne biesiady potrafiły trwać do rana i przybysze nie mieliby dość smaku wina, a zdarte pięty nie przeszkadzałyby im w dalszych tańcach. Setki osób mogło wejść do fontanny, chlapiąc w niej swymi nogami i śmiejąc się w niebogłose, a ta nadal pozostawałaby kryształicznie czystą.

Jednego szczególnie upalnego dnia, przez bramy królestwa przeszła kobieta, chociaż nie wiadomo, czy kobietą była. Ubrana w ciemne łachmany

i równie ciemną chustę na głowie, nie potrzebowała laski, ale chwiała się przy każdym drobnym krocisku. W trzęsących się dłoniach, nie zdołałaby utrzymać nawet kubka z kropelką wody. Prosząc paru mężczyzn o pomoc, dotarła pod zamek królewski, gdzie o dziwo strażnicy wpuścili ją bez żadnych pytań. Im bardziej się zbliżała, tym odzyskiwała więcej siły, stawy wydawały się łatwiej zginać bez nieprzyjemnego zgrzytania, utykała na jedną nogę chybotając się i tracąc nieustannie równowagę, lecz nie zajmowała tym swojej uwagi, bo jej oczom ukazała się sala tronowa, gdzie cała rodzina królewska odczytywała właśnie niedawno przyssane korespondencje. Dostrzegając nieproszonego gościa, głowa państwa przywołała jednego ze sług, nakazała zabrać wszystkie listy i odprowadzić jego starą już matkę do swojej komnaty. Staruszka wyprostowała się na tyle ile zdołała i spojrzała królowi wyzywająco w oczy. Jej tęczyki praktycznie zlewały się z białkami, a dwie czarne jak najbardziej skurczone źrenice sprawiały wrażenie jakby patrzyło się na istotę bez duszy.

– Wasze królewskie mości, macie od dawna coś co należy do mnie. – jej głos był płynny i melodyjny, jakby należał do młodej dziewczyny a nie zgarbionej i pomarszczonej kobiety.

– Nie mam pojęcia o czym Pani raczy teraz mówić – król wyraźnie zaintrygowany postacją przed nim stojącą, starał się podejść do niej o krok, jednak ta płoszy się jak dzikie zwierzę podczas polowania, chyląc się ku podłodze i śledząc każdy najmniejszy ruch pozostałych.

– Pod wrotami do twojego królestwa Panie, stoi armia. W odpowiednim czasie jest w stanie wygrać każdą bitwę jaką tylko zechcesz stoczyć, będzie do twojej dyspozycji jeśli to co zostało mi niegdyś okrutnie odebrane, wróci teraz do mnie.

Król coraz bardziej zaczynał wierzyć, że kobieta jest zwykłą obłąkaną już z samotności staruszką. W jego głowie pojawiały się scenariusze jak to może spędziła zbyt wiele czasu mieszkając w lasach, gdzie jedynymi towarzyszami były zwierzęta, więc teraz także ona ma w sobie więcej cząstek zwierzęcych niż każdy inny człowiek. Monarcha jednak usiłował się dowiedzieć o jaką dokładnie rzecz chodzi staruszce, czego tak bardzo pragnie, że bez względu na swój lichy stan, natrudziła się by przyjść aż tutaj i odebrać rzekomo swoją własność. Niestety ilekroć kobieta w ciemnych łachmanach była o coś pytana, kuliła się jak zwierzę stojący oko w oko z myśliwym, mamrotała pod nosem niezrozumiałe dla nikogo rzeczy i nawet nie starała się już opanować swojego rozbieganego wzroku. Oczy staruszki widziały w obecnym władcy przed którym teraz stała, dawnego króla, który to jednej nocy zabrał jej największy skarb. Staruszkę poniósł nagle szorstki wrzask, jej kościste i pomarszczone palce zaczęły szaleńczo rozdzierać okrywające ją ubranie,

ukazując bladą jak kartka pergaminu skórę, wręcz wiszącą na kościach. W powietrzu zaczął roznosić się zapach śmierci i postępującego rozkładu. Prawie naga istota zaczęła kroczyć dookoła króla, teraz nie płosząc się przed kontaktem z nim. Szepcząc pod nosem obłąkane bzdury, przebierała palcami w powietrzu jakby chciała zaraz zaatakować kogoś swoimi ostrymi pazurami. Jasne, beznamiętne oczy dostrzegły księżniczkę, kryjącą się za plecami matki, przytulając do siebie młodszego braciszka. Istota wyciągnęła do niej dłoń, tak jakby chciała pogłaskać jej zaróżowiony policzek, ścierając słońą łzę.

– Masz doprawdy piękną córkę, słyszysz to pewnie nie pierwszy już raz. Zaklinam ją, tak samo jak zaklinam ciebie, latami będziesz patrzeć na jej nieruchome oblicze i nawet wylupanie sobie oczu nie sprawi, że zdołasz pozbyć się tego obrazu. Ofiaruję ci swoją armię, która w odpowiednim czasie poruszy lasy i rzeki, rozbije każdą cegłę i spali każdą deskę, byleby odzyskać co moje, a z czego wam przyszło bezwstydnie korzystać. Tak jak mówię, tak się stanie.

Księżniczka zaczęła wylewać nieskończoną liczbę łez, kurczowo trzymała ramiona swojej matki, błagalnie szukając w niej ratunku, gdy poczuła, że jej stopy odziane w złociste pantofelki, robią się coraz bardziej ociężałe. Jej całe ciało pokryło się jednolitym białym kamieniem, uwieczniając jej każdy szczegół na bogato zdobionej sukni dziennej, długie włosy posplatane w zmyślne warkocze i przerażoną twarz. Szeroko otwarte oczy nagle zostały pozbawione swojego blasku, na policzkach pozostały wyraźne ślady łez, a usta zamarły w grymasie gorzkiego strachu. Zrozpaczony król padł na kolana przed kamienną figurą swojej córki, siarczyście rozpaczając i przeklinając cały podły los. Gdy tylko się obejrzał, nie dostrzegł już przedziwnej, przekłetej istoty, która właśnie zgotowała na jego rodzinę takie cierpienie. Władca, targany silnymi emocjami nakazał od razu zniszczyć armię, która rzekomo miała stać pod wrotami jego królestwa, nie pozostawić nikogo żywego, zapragnął widzieć zakrwawione, pozbawione już życia ciała ludzi, w jakikolwiek sposób powiązanych z tą okropną, starą wiedźmą. Pod królestwem stały wielkie tafle białego kamienia, a w nich idealnie oddane rzeczywistości, płaskorzeźby rycerzy. Monarcha rozkazał każdemu dobrać narzędzi i rozbijać idealne rzeźby na najmniejsze kawałki, jakie były możliwe, a po tym wynieść je wszystkie do lasu, wrzucić do różnych rzek, by natura sama się z tym rozprawiła. Nie było to jednak łatwe ani przyjemne, lud pracował dzień i noc w pocie czoła, mięśnie paliły każdego jak ogień a omdlenia były codziennością.

Próby zniszczenia tego dziwnego daru od zdziczałej staruszki, trwały okrągłe miesiące, powoli zmieniające się w lata, nie przynoszące

kompletnie żadnych efektów, lecz król nie był w stanie odpuścić. Do tej pory rozsądny i dobry monarcha dał ponieść się szaleństwu. Spędzał całe dni na wpatrywaniu się w swoją córkę zamienioną w kamień, widywał ją w co nocnych koszmarach, przez co unikał snu, lecz i tak na jawie coś nakazywało mu na nią patrzeć. Cały czas w uszach odbijało mu się echo słów więdźmy, aż pewnej nocy, po pięciu ciężkich latach dla całego państwa, odwołał wszystkich ludzi pracujących przy rozbijaniu kamiennych rzeźb. Tej samej nocy musiał ratować swoją rodzinę z gruzu i popiołu sypiącego się z każdej strony. Tak jak mówiono, tak rzeczywiście się stało, jednak ogień podłożył obecny król, teraz bardziej podobnego do bezmyślnego szaleńca. A do zamku, niszcząc wszystko co było możliwe, wtargnęli kamienni rycerze, nagle uwolnieni z ram płaskorzeźby, pod przywództwem dawnego, krwawego króla, od którego wszystko się zaczęło.

Teraz nie ma najmniejszego śladu po tym królestwie, jednej nocy cała rodzina królewska zniknęła, dobrowolnie oddając się w ręce kamiennej armii. Ludność szybko wyruszyła w podróż, szukając sobie nowej spokojnej ostoi. Więdźma odzyskała swoją własność, mały biały kamyczek, niegdys skradziony, podczas napaści na jej skromną wioskę, a kiedy ponownie go dostała, odzyskała jędrne ciało, lśniące włosy i pełnię nadnaturalnych mocy.



Jakub Krok, 15 lat ***Godło: „Krokis”, Węgrzyce Wielkie*** **Wyróżnienie, proza młodzież**

MELANCHOLIA

Pośród pozornej ciszy głębokiej nocy złowieszczco błyszczą marniejące strugi światła wydalone przez uliczne latarnie. Ich blask zdaje się zamierać, jak gdyby wyblakł przed laty i trwał usilnie podejmując się próby imitacji dawnej siły. Okna nagle wypełnia smolisty mrok, absolutna, nieprzenikalna czerń. Sen generuje życiowy rytm. Są niczym strażnicy, którzy po upływie godzin z umęczeniem oddają wartość wypoczętym następcom. Pośród powolnego zanikania, objawiają się nowe, gwarne dźwięki.

Jednego z tych, przepelnionych tajemnicą i bezdennym brakiem zaufania do drugiego człowieka, dni z nieba popłynął delikatnie gęsty, rzeński deszcz. Ulica opustoszała, rozmowy ustały, oddając prymat niepozornej, lekkiej mżawce. Jak się tam znalazłem? Prawdopodobnie zaprowadziło mnie tam wieczne poczucie potrzeby ucieczki. Niedefiniowalne pragnienie odejścia, rozdźwięk ze znaną, zwyczajną rzeczywistością. Ukonstytuowany w jego granicach, nie byłem w stanie wyjść poza jego ramy. Podjąwszy się próby odnalezienia wolności, umiejscowiłem się nieoczekiwanie w klatce chimerycznego zniewolenia, które kazało mi się odnosić doń w sposób radykalnie ambiwalentny. Nie mogłem być pewien. Bez ustanku krytykowałem swoje położenie, odnajdując w nim jednocześnie swego rodzaju pierwotny, konieczny i kojący sens. Pomimo tego nadal pozostawał niewyraźny. Wieczna niemożność do zrozumienia, popychała mnie do kolejnej ucieczki.

Ciężko jednoznacznie rozstrzygać o właściwym wyjściu z tej sytuacji. Stłoczeni w barach ludzie zapełniali je swoją nachalną jowialnością, aurą przyjacielskości, gościnności. Z ich twarzy i gestów wylewało się zaproszenie do współudziału. Nie chciałem do nich iść, a ich nastrój również nie mógł mnie uchwycić. Byliśmy zmuszeni do funkcjonowania osobno i we wzajemnym wykluczeniu. Działo to zapewne w zbliżeniu do stanu niemej, niewysłowionej nienawiści i wściekłości, pobudzonej czynnikami, które potencjalnie zburzyć mogą przyjęty porządek i ład. Oni – strapieni i zmartwieni moją obecnością – udawali, iż pomimo definitywnej niechęci, zapraszają mnie w swoje progi. Ja nie chciałem już nawet udawać. Oczywiście było, że muszę po prostu przemieścić się dalej, zorientowawszy się, że to ja mam zadecydować o ich komforcie i spokoju.

Coś zresztą pomogło mi w rezygnacji. Intrygującym jest fakt, iż na ludzkiej drodze przystaje, zawsze niezapowiedziane, rzecz w każdym aspekcie niepodważalna, którą, idąc po prostej linii oporu, zinterpretujemy jako przeszkodę. Jestem przekonany, że mówimy tu o nad wyraz płytkim rozumieniu. Oznajmiając – droga, mam na myśli zarówno, te krótkotrwałe i ulotne dystanse, które mózg wypycha z ludzkiej pamięci przy pierwszej, choćby i naciągniętej okazji, jak i ten długi, wieczny z młodzieńczej perspektywy, marsz przez góry i doliny ludzkiego życia. Tym samym, „rzecz” ta, którą umieszczał będę właśnie pod taką, a nie inną nazwą, z powodu braku sensownego zastępnika, po głębszej analizie zda się budzić emocje dwubiegunowe. W jednej chwili przeobrazi się w zbawienie, w innej zaś, uformuje przed nami, niemożliwy do przeskoczenia, mur z porzuconych marzeń, żądz i chęci. Wywlecze z wnętrza najskrupulatniej ukrywane bóle i uderzy nimi od frontu, brutalnie i bez zapowiedzi.

Wśród mętnej, wydeptanej szarości chodnika spostrzegłem jaskrawą, kolorową kobietę. Emanowała niespotykaną aurą, ekspresyjnie wydobywając z siebie emocje i przeżycia, oddając je w depozyt, bez wyjątku, wszystkim przechodniom. Życie wykształciło we mnie brak zaufania do ludzi jej pokroju, rozważa nakazywała mi obojętność, a wręcz pogardę, niechęć, ostentacyjną dyskwalifikację. Kimże bym jednak był słuchając się wyłącznie przezorności i logiki? Ta kobieta, w tej krótkiej, przejściowej chwili, stała się dla mnie nadzieją i ratunkiem. Lekceważenie byłoby wobec tego ciosem, wymierzonym z pełną świadomością samemu sobie – swoim uczuciom i psychicznej kondycji.

Nie pamiętam dokładnie, co do niej krzyknąłem. Rozpaczliwie poszukiwałem kontaktu, który pozwoliłby mi przedostać się wreszcie do innej mentalnej przestrzeni, uzmysłowić sobie przyczynę i cel. Ona była bramą. Zakazanym owocem w bożym raju. Oczywiście nie pojmowałem jej osoby jednopłaszczyznowo, perwersyjnie, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Owo symbolizował jednorazową szansę na uczynienie czegoś, co dzieje się jeden, pierwszy i ostatni raz. Ten moment posiadał bez wątpienia szeroką autonomię, zamknął świat w tym specyficznym, mrocznym miejscu. Wszystko ograniczyło się do dystansu między mną, a nią, nią, a mną. Kiedy ona obracała się, żeby odpowiedzieć, ja już szedłem w jej stronę, bodaj w obawie, żeby jej nie utracić. Ilekroć przyjrzałem jej się dokładnie, odczuwałem niepokojący lęk. Jej nikłość i nieuchwytność, idące w parze z wymizerowaniem, zmuszały mnie do odwrócenia wzroku w obawie, że coś może nastąpić. Że nagle coś wkroczy między nas i ją stąd zabierze, a ona, oduczona, nie będzie stawiała oporu. Uległem zupełnie potrzebie wejścia w interakcję, która miała być ostatnią, kruchą szansą na ucieczkę. Wyszedłszy fizycznie z pomieszczenia, wcale z niego nie wychodziłem. Potrzebowałem opuścić siebie, zamkniętego wciąż w opustoszałej przeszłości. Teraz zaciskały się wokół mnie wciąż te same ulice, kamieniczki, sklepiki i lampy. Osaczały mnie, odbierały wdech...

– Zaczekaj! – krzyknąłem, jakby szykowała się do odwrotu.

Ale ona nie odchodziła. Jakby w sekundzie zrozumiała moje uczucia i emocje i postanowiła samarytańsko nie zostawiać mnie samego.

– Nigdy cię nie widziałem...

Brzmiałem słabo, wręcz konwulsyjnie, choć nie miałem czym się przecież zmęczyć.

– Czy ty, widziałeś mnie kiedyś?

Mierzyła mnie wzrokiem z uwagą, jaką rzeźnik poświęca zawieszanej na hakach świni. Przeszywała mnie, przedzierała się przez wnętrze, obracała je

doszukując się intencji. W jej oczach narastał niepokój. Zawsze tak pewna celu swoich gości, pojęła, iż nie rozumie mojego.

Ja też nie rozumiałem.

– Czy ty mnie widziałaś? Czy kiedykolwiek stałem tutaj, przed tobą?

Potrząsnęła głową. W tym geście kryło się zaciekawienie, w którym przeczuwałem nadchodzące znudzenie i irytację.

– Od kiedy tu jesteś? Kto cię tu zostawił?

Odwrociła głowę i wbiła wzrok w ziemię z kamiennym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potrzebowałem wiedzieć, dotrzeć do jej refleksji i wspomnień.

– Przyszłaś tu sama?

Jej kręcenie głową skrywało cierpienie i rezygnację, niepewność i żal.

– Nie wiem – odrzekła cicho, z nutą przerażenia.

W jednej chwili opuściła mnie inwencja, która podsuwała w krytycznych chwilach, pytania, odpowiedzi i komentarze. Ta kobieta była odległa w swojej bliskości, szorstka w łagodności, smutna, a jednocześnie pełna radości. Potrzebowałem wdrzeć się w jej konstrukcję, w jej paradoksalno-kontrastowe szwy, wewnętrzne więzi. Żeby zrozumieć musiałbym odnaleźć jej traumę, oddzielić jej życie, od jej swoistego nieżycia. Pojąć co w rzeczywistości skryzystalizowało ją w tym szczególnym, sennym i, w pewnym sensie, nierealnym położeniu. Usłyszałem jej cichy, lecz przeszywający szloch, i myślałem, że już czuję. Że już czuję jej łzy. Jej rozpacz. Bezsens. Ale nie. Wszelki sens całej konfrontacji zaczął mi nagle umykać. Niczym piasek w klepsydrze, przesypywał się na drugą, nieosiągalną stronę sedna, gubiąc je jednocześnie i odbierając mi cel. Jej kolorowość i nadzwyczajność stopiły się nagle z nijakością i niepośledniością bruku, szarości, lamp, kamienic, ulic, skwerów, wciąż tych samych, niezmiennych, stale powracających. Wszystko co się nie wydarzało, znów rutynowo poczęło się wydarzać. Wracało do życia, budziło stare, posiwiałe sekwencje i schematy. Ona odchodziła, również oddalwszy się ode mnie, od mojej krótkiej fascynacji, nadziei. Zespoleni ze sobą na jedną, ulotną chwilę, nie mogliśmy żyć bez siebie, przeobraziliśmy się w jedno metafizyczne ciało.

Wówczas szaszczepiła coś we mnie. Nie myśl, nie sentencję. Nie wiedziałem, co kryło się w istocie „rzeczy”. Co kazało mi się zatrzymać, spostrzec ją, złapać. Dlaczego ją? Tak przecież niepoprawną, tak marginesową, sponiewieraną społecznie, nieistotną, wyłowioną wprost z mulistego dna? Nie mogłem docierać do niej, jak inni, więc pozostawiła we mnie ślad. Znamię. Trwałą bruzdę w chwiejnej, rozklekotanej pamięci.

Aleksandra Kocot, 14 lat

Godło: „Anta”, Bytom

Wyróżnienie, proza młodzież

SKRZYPCE WŁODKA

Muzyka, jako pocałunek duszy, wznosi myśli ku niebu. Jest miłością, tęsknotą, namiętnością, skrzydłami wyobraźni, lotem umysłu, niebem z nutami, zamiast gwiazd... Uszlachetnia obyczaje, zagłusza rzeczywistość, odrywa nas od ziemi, pozwala dotknąć słońca. Muzyka... Moja miłość. Moja wielka miłość.

Owe uczucie przybrało postać skrzypiec. Dokładnie pamiętam ten dzień.

– Dzisiaj są twoje urodziny, Włodku – usłyszałem matczyny głos. – Proszę, wybierz sobie urodzinowy prezent. Moje oczy błyszczały, kiedy pewnym ruchem ręki wskazywałem na skrzypce.

I tak zaczęła się moja przygoda z muzyką. Wygrywałem całą gamę dźwięków pod czujnym okiem nauczyciela muzyki. Każdą wolną chwilę oddawałem moim skrzypcom. Czasami wymykałem się do filharmonii i tam delektowałem się koncertami profesjonalnych skrzypków. Marzyłem, że kiedyś, gdy dorosnę, zostanę słynnym wirtuozem. Oczaruję wszystkie serca mieszkańców mojej Ojczyzny, ba, a nawet i całej Europy.

To właśnie w rytm granych melodii w trzydziestym dziewiątym, zaczął rozsypywać się mój beztroski świat. W kraju coraz częściej zaczęło dochodzić do antysemitycznych incydentów. Aż w końcu, z początkiem września trzydziestego dziewiątego roku, nasze życie rozpadło się na tysiące kawałków.

Pewnego dnia mamusia oznajmiła smutnym głosem:

– Włodku, nie wolno ci już grać.

Odtąd moje życie stało się milczące, szare, samotne... Chociaż skrzypce pozostawały nieme, wyobrażałem sobie, że muskam smyczkiem ich złoty materiał. W głowie wciąż rozbrzmiewała mi muzyka. Zapisywałem nuty, w nadziei, iż uda mi się zagrać kiedyś prawdziwy koncert.

Byłem dzieckiem, jednak już wtedy zdawałem sobie sprawę, że nasze pochodzenie może przynieść nam zgubę. I nie myliłem się. W marcu 1943 r. nasze żydowskie pochodzenie zaprowadziło moją rodzinę wprost do bydłęcego wagonu, zmierzającego w kierunku Auschwitz. Jednak piekło obozu nie było moim przeznaczeniem.

Kiedy rozpędzony pociąg mknął w kierunku swego przeznaczenia, ojciec pozostawał opanowany. Łokciami, przebił się przez tłum i zaczął coś majstrować przy drewnianej, pociągowej podłodze.

– Jest, udało się – szepnął sam do siebie, wycierając pot z czoła. – Włodku, wydrażyłam dziurę w podłodze. Uciekaj! – rzekł ojciec.

– Czy mogę zabrać ze sobą skrzypce? – zapytałem, a ojciec skinął twierdząco głową.

Nagle pociąg stanął. Ostrożnie wszedłem w wykonaną ojcowskimi rękoma dziurę. Trzymałem kurczowo skrzypce. Potem, nie oglądając się za siebie, pobiegłem jak szalony w stronę lasu.

Zmęczony wędrówką przycupnąłem przy wielkiej sośnie i zasnąłem. Położyłem głowę na mięciutkim mchu i zasnąłem. Śnił mi się przedwojenny świat w całej okazałości. Oto gram na skrzypcach na warszawskim rynku. Ludzie biją mi brawa, cieszą się owocami. Potem matula gładzi mnie po kędzierzawej głowie. Jest mi tak dobrze. Tak błogo...

– Hände hoch! – ze snu wybudził mnie brutalnie głos.

Otworzyłem oczy, widząc przed sobą żołnierza Wehrmachtu.

– Pożegnaj się z życiem. Zginiesz w leśnej scenerii, pośród szumu drzew – rzucił kpiąco, a ja skuliłem się ze strachu w kłębek.

Z przerażeniem patrzyłem, jak ładuje pistolet i wymierza go prosto w moje serce. Przełknąłem głośno ślinę, nogi miałem jak z waty, naraz mignęło mi przed oczyma całe moje krótkie życie.

– Poczekaj – usłyszałem mój zachrypły głos. – Poczekaj – powtórzyłem już pewnie. – Mam ostatnią prośbę.

– He? – żołnierz popatrzył na mnie z ukosa.

– Chcę zagrać. Ostatni raz. Proszę – rzekłem błagalnie ledwie słyszalnym głosem.

Niemiec zaśmiał się lekko, jednak skinął ręką na znak aprobaty. Dopiero teraz prostując się dumnie, chwyciłem moje skrzypce. Najpierw nieśmiało, potem coraz bardziej zapalczywie zacząłem grać.

Grałem „Requiem” Mozarta. Zamknąłem oczy, a moje ręce grały każdy kadr z mojego życia: spacer na krakowskim rynku, koncerty moich złotych skrzypiec, delikatny dotyk matczynej dłoni, śmiech ojca. A potem wojna, ciemność, nicość... Teraz grałem szybko, energicznie, nerwowo... Dźwięki przerażały swoją dobitnością, każdy z nich oddawał ból i tragedię, jaka dotknęła moją rodzinę. A potem cisza, skrzypce zamilkły. Milczał cały świat wokół mnie.

Otworzyłem oczy. Niemiecki żołnierz zastygł bez ruchu. Po jego policzkach płynęły łzy. Milczał przez dłuższą chwilę, a potem odezwał się cicho:

– Odejdź chłopcze, niech już się ta wojna skończy. Niech się to wszystko w końcu skończy...

Patrzyłem na niego i nie dowierzałem w to, co właśnie usłyszałem.

– Nie rozumiesz, co mówi do ciebie niemiecki oficer? Wynoś się! Raus! – krzyknął tym razem tak głośno, że nie oglądając się za siebie, pobiegłem ile sił w nogach.

Zdałem sobie sprawę, że ocalałem nie tylko ja. Ocalał też on. Niemiecki żołnierz. Mój oprawca.

SPIS TREŚCI

Protokół Komisji Konkursowej	4
------------------------------------	---

POEZJA DOROŚLI

Mariola Kruszewska	6
Jerzy Pawłowski	8
Urszula Lewartowicz	10
Irena Wanda Niedzielko	12
Mirosław Kowalski	15
Mariusz Jacek Rokita	18
Mirosław Gabryś	20
Martyna Furtak	22
Tadeusz Knyziak	23
Katarzyna Justyna Zychła	24
Donata Witkowska-Kowal	25
Grzegorz Chwieduk	25
Aneta Ślemp	26
Krzysztof Przegiętka	27
Marzenna Lewandowska	28
Marzena Przekwas-Sięmiątkowska	28
Zdzisław Drzewiecki	29
Remigiusz Czyżewski	30
Małgorzata Borzeszkowska	31
Jolanta Michalska	32
Magdalena Sadowska-Maciejewska	33
Kinga Stępień	34
Adam Bolesław Wierzbicki	34
Tomasz Albecki	35
Rafał Baron,	36

PROZA DOROŚLI

Maria Kocot	37
Kamila Szmigiel	42
Marek Szczerbiński	49
Anna Paterek	56
Tomasz Figiel	59
Anna Kokot-Nowak	64

POEZJA MŁODZIEŻ

Martyna Jersz	69
---------------------	----

Milena Puła	71
Grzegorz Sobkiewicz	73
Karolina Majorowska	76

PROZA MŁODZIEŻ

Anastazja Klufczyńska	81
Oliwia Dorota	85
Jakub Krok	92
Aleksandra Kocot.....	96